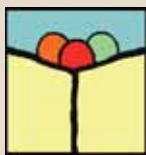


Nr 2 (25)

2007



W ramach
programu
Promocji
Czytelnictwa

ISSN: 1732-1069



PEGAZ LUBUSKI

WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA W GORZOWIE WLKP
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WLKP

Widziane z Landsberga

Niemiecki intelektualista o niemieckiej wojnie

9 maja 1945 r. zakończyła się II wojna światowa. Coraz mniej ludzi pamięta zdarzenia sprzed 62 lat i wcześniejsze, coraz dalsze są wspomnienia tamtych przeżyć. Na wojnę z lat 1939 – 1945 patrzymy zazwyczaj przez pryzmat polskiej martyrologii, polskiego uczestnictwa w walkach, polskich klęsk i zwycięstw, polskich konsekwencji wojny.

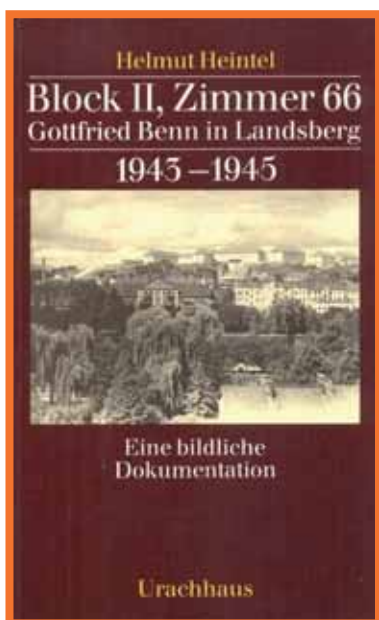
A przecież ludzie żyli po dwóch stronach frontu. Co myśleli? Co czuli?

Od sierpnia 1943 do ostatnich dni stycznia 1945 r. w koszarach im. generała Hermanna Stranza w Landsbergu lekarzem był Gottfried Benn, niemiecki poeta ekspresjonista i intelektualista. Miał gabinet nr 66 w bloku nr 2. To dziś budynek hali sportowej Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej w Gorzowie Wlkp. Z okien swojego gabinetu widział małe jarzębinki, a za nimi plac apelowy. Dziś jarzębiny są dużymi drzewami, a plac apelowy zmieniono na ogromny parking na samochody profesorów i studentów. Po generalnym remoncie budynku nr 2 trudno ustalić, z którego okna Gottfried Benn obserwował koszarowe życie. Ale tu rodziły się myśli, spisane może właśnie w tym pokoju, włączone do rozdziału „Gorzowski fragment” w wydanej w 1949 r. jego książki autobiograficznej „Podwójne życie”.

Warto poznać rozmyślenia niemieckiego intelektualisty w końcu niemieckiej wojny. Zapraszamy do lektury na stronach 5-7.

O dorobku literackim Gottfrieda Benna napiszemy oddzielnie w jednym z najbliższych numerów „Pegaza”.

Krystyna Kamińska



Kazimierz Furman

* * *

Szkoda że nie umarłem
Przekonałby się wtedy
Chrystus

Że już jest sierotą,

Bo we mnie Jego Ojciec

Matka-Ziemianka

Od zawsze Święta

I cieśla

Konkubent

Wytyczają drogi

Do nieba

Pod niebiosą

Do katedr



rys. Andrzej Gordon ze zbioru WiMBP w Gorzowie

Pożegnaliśmy Witka Zdzitowieckiego

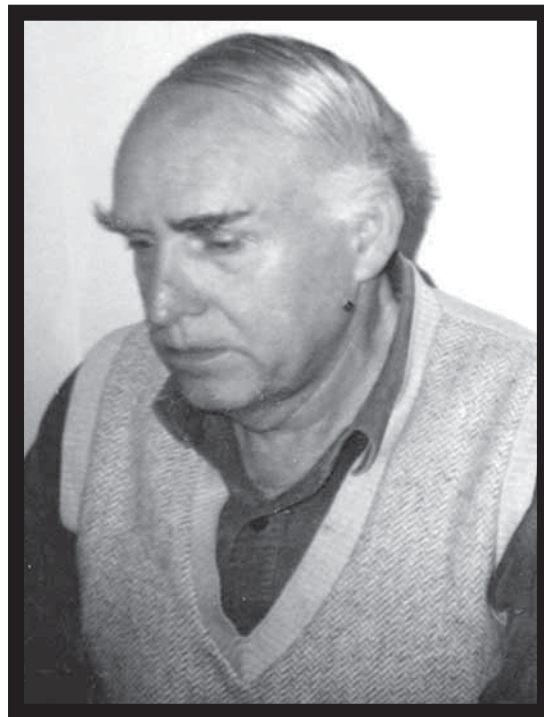
Odszedł od nas pisarz, o którym można powiedzieć, że był jedynym w naszym środowisku prawdziwym pracownikiem pióra. Pisał bowiem systematycznie, codziennie, do ostatnich chwil życia. Pisanie nadawało sens jego życiu, które doświadczyło go ciężką, nieuleczalną, postępującą chorobą mięśni. Ostatnie lata przyniosły mu wiele sukcesów w postaci nagród i wyróżnień na wielu konkursach literackich. Jeszcze kilkanaście dni przed śmiercią osobiście odebrał wyróżnienie za opowiadanie „Husaria” w I Ogólnopolskim Konkursie Literackim im. Ireny Dowgielewiczowej. Mimo sporego dorobku nie miał szczęścia znacznej jego części oglądać w druku. Z tego też powodu nie spełniał statutowych warunków, by stać się członkiem ZLP. Ale traktowaliśmy go jakby od dawna był. Nasze czasopismo stało dla niego zawsze otworem.

Witek Zdzitowiecki funkcjonował w gorzowskim pejzażu literackim od wielu lat. Rozpoczął jako dziennikarz w kostrzyńskiej „Celulozie”, a potem w „Gorzowskiej Przemysłowce”, ale zawsze ciągnęła go literatura piękna. Jak większość młodych ludzi pisał wiersze i chciał być widziany jako poeta. Stąd jego obecność, kiedyś w strukturach Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy, w grupie RSTK, a w ostatnich czterech latach w kręgu Poetów Okrągłego Stołu, co zostało uwidocznione w antologiach „Niedzielni poeci” i „Zapisani w wierszach”. Tę ostatnią pozycję złożyłem Mu na grobie wraz z kwiatami od środowiska literackiego Gorzowa, które interesująco i barwnie opisał we wspomnieniach drukowanych na łamach „Pegaza Lubuskiego”.

Przez wszystkie lata pracy zawodowej Witek związany był z dziennikarstwem użytecznym. Ten rodzaj pisania mogą uprawiać ludzie autentycznie emocjonalnie związani z dziedziną, partią lub firmą, dla której pracują. Dla Zdzitowieckiego była to przede wszystkim gorzowska „Przemysłówka”, czyli kombinat budowlany w latach 70-tych odnoszący nieklamane sukcesy, a w końcu lat 80-tych nowatorsko przekształcony w holding małych firm. Założył i był naczelnym zakładowej gazety. Co prawda w tym drugim okresie, po przekształceniach, nie było już miejsca na gazetę, ale Witek zawsze był rzecznikiem ludzi i spraw, z którymi i dla których pracował.

Aż przyszedł czas, gdy zmogła go choroba i przestał pracować zawodowo. Jednak nie poddał się chorobie, a wszedł w środowisko ludzi niepełnosprawnych. I co ciekawe, mimo choroby pisał więcej i lepiej niż w latach poprzednich.

Dość długo czekał na zbiór swoich wierszy. Pierwsze dwa tomiki w technice małej poligrafii pomogła mu wydać „Przemysłówka”. Sporo było w nich wierszy inspirowanych Gorzowem. I te były najlepsze, bo wynikały z autorskiej obserwacji rzeczywistości. Trzeci tom wierszy pt. „Wszczęświat we mnie”, choć zaprojektowany przez autora jako całość, pozostawił wiele niedosytu, zwłaszcza w kontekście równoległe publikowa-



nych innych wierszy w czasopiśmie i antologiach. Przyczyna leżała pewnie w odejściu od spraw dziejących się „tu i teraz”, a w dominujących w książce rozmyślaniach na temat praw i prawd wszechświata. Ten rodzaj filozofii był mu szczególnie bliski...

Od pewnego czasu Wincenty Zdzitowiecki pisał też utwory prozatorskie, zdobywał nagrody na konkursach literackich i publikował opowiadania, nowele, wspomnienia. W Konkursie im. Morawskiego zdobył I nagrodę za słuchowisko. Tematy czerpał z losów i życia ludzi niepełnosprawnych, z ich zmagania z chorobami. Wrócił wtedy Zdzitowiecki-dziennikarz i obserwator, który umie wskazać ludzi niezwykłych i przekonać czytelnika, aby ich podziwiał.

W ostatniej książce pt. „Niemoc mnie porusza”, której wydanie wspomogli pieniędzmi Wydział Kultury Fizycznej Urzędu Miejskiego w Gorzowie Wlkp. i Gorzowski Związek Sportu Niepełnosprawnych „Start”, opisał zwycięstwa, ale i klęski swoich przyjaciół - niepełnosprawnych sportowców. Ich zmagania z własną słabością, z przestrzenią, z materią i czasem zawarł w wierszach, opowiadaniach i reportażach. Lektura tej książki zadziwiająco potwierdza paradoks zawarty w tytule, że siłą sprawczą działań może być niemoc. Dla autora osobiście także...

W końcu ta niemoc i o Niego się upomniała. Zabrała go w pełni sił twórczych, gdy dojrzał Jego pisarski warsztat. Gdy zaczął ze swojego wszechświata schodzić do ludzi na ziemię. Dał temu wyraz w jednym z ostatnich swoich wierszy *** (*Ludzie to ptaki*). *Cześć, Witku, Twojej pamięci.*

I.K. Szmidt

Wincenty Zdzitowiecki

* * *

ludzie to dziwne ptaki
całe życie szukają piór
stroją myśli i skrawki siebie
uciekają przed sobą i światem
z kąta w kąt
do pokoju
do kuchni
do cienia
aż w końcu
rozkładają długo zbierane
skrzydła
i przez okno
odlatują do
ziemi

HUSARIA

Opowiadanie wyróżnione w konkursie literackim im. Ireny Dowgielewiczowej w Gorzowie

– Cóż, kankana to już pan raczej nie zatańczy – odezwał się Biały Kiteł, spoglądając mi nie tyle w twarz, ile gdzieś w okolice pępka. Powędrowałem za jego wzrokiem. O ironio i paradoksie – moje kochane towarzyszki; w tej chwili wyglądałem właśnie tak, jakbym tańczył kankana. Pewnie ostatniego w życiu; ostatni taniec przed postem od ruchu, który miał trwać całe życie. Biały Kiteł podciągnął wymiętą piżamę aż pod zwieńczenie fantazyjnie rozrzuconych po obdukcji lekarskiej nóg i przesadził mnie z łóżka na wózek. Oglądałem taniec–połamaniec.

*Aniele, Stróżu mój,
jak słup ty przy mnie nie stój,
rusz się rusz, do tańca proś,
a jeżeli nie masz wprawy – pozwól, że cię wyręcę.*

Usłyszałem chlipanie. Nie, to nie był zwykły płacz, który wydaje z siebie przeciągłe dźwięki podobne do tych, jakie towarzyszą wyrwaniu zęba bez znieczulenia: „uuuuaaaaaau” – uszy zarejestrowały na taśmie magnetofonowej bębenka odgłosy pociągania nosem oraz szelest mokrych rżes, gwałtownie pocieranych rękawem. Mój prywatny Anioł Stróż beczał, więc wyciągnąłem go zza kołnierza piżamy, gdzie się był schował, i ścisnąłem go oburącz w pasie.

– Stary, no co z tobą?! – potrząsnąłem nim w nadziei, że się szybko otrząśnie z depresji i powróci do swych codziennych obowiązków zawodowych czyli patrolowania mojego życia.

A on oczy obciągnął ciasno powiekami, palce gwałtownie ze sobą splótł. Wyglądał jakby stał nad moim otwartym grobem. Czyżby nie wierzył w życie wieczne? Ładny mi dawał przykład, nie ma co...

– Chłopie, co jest? – zacząłem ponownie. Odpowiedział mi długimi zdaniem ciszy, pozbawionymi nawet znaków interpunkcyjnych. Poczuję się głupio – tkwiliśmy wobec siebie niczym dwie ściany. Można byłoby jeszcze pomiędzy nami zamontować wygiętą blachę i stworzylibyśmy doskonałą rampę dla deskorolkarzy.

Ponownie zerknąłem na mojego Stróża. Nie był podobny do aniołów z obrazów Rafaela. Pewnie nawet w dzieciństwie nie był pucułowaty, niebieskooki i z burzą blond loczków, przypominających zmierzwioną główkę dziewczynki. Wyglądał raczej jak wykończony kochaś w dzień po długiej nocy, borykający się na dodatek z kacem–gigantem. Dodajmy – kochaś w koszuli nocnej swojej konkubiny. Parsknąłem śmiechem witanym przez kolejną porcję rozlewającej się leniwie ciszy.

*Aniele, Stróżu mój,
ty zawsze przy mnie stój.
Czy na wojnie, czy w okopach,
ty zapomnij o urlopach.*

– Gdzie byłeś tego dnia, łotrze jeden, kiedy złamałem rękę na wakacjach u babci? Co robiłeś, gdy po pijanemu płodziłem ponoć nie moje dziecko? Dokąd wyjechałeś, gdy tam w niebie napisali mi w dowodzie osobistym: „Na wsze czasy niezdolny do niczego?” Zaraz zażądam rewizji nadzwyczajnej u Pana Boga. Jak to nie pomoże, wniosę apelację do Niebieskiego Trybunału Praw Człowieka. Nie zawsze przy mnie byłeś. Pamiętam jak często za tobą tęskniłem. – Ckni mi się bez niego, myślałem

z bólem, który przypominał wrzód gotowy do erupcji. Nawet nie rzucam z nim na plecach cienia. Z jego anielskimi skrzydłami, cień wyglądałby jak szarżujący huzar.

– Owszem, chodziłem na wagary – wyznał odważnie. – Nie mam prawa do urlopu wypoczynkowego, zdrowotnego czy bezpłatnego, nawet po tylu latach pracy za twoimi plecami. Brakowało mi wytchnienia nawet po północy. Niewiele śpisz, więc musiałem brać nadgodziny również w nocy. Czy powiedziałeś mi choć raz „dziękuję?” Nic, tylko praca i praca. Bez końca gapierem się zza pleców w dzieje twojego żywota, na dodatek – nie zawsze zacnego. Chwilami miałem ochotę chwycić za ryżową szcztokę spowiedzi i porządnie cię zganić. A ile razy widziałem na twojej duszy kuszące krosty. Aż mnie ręka świerzbiła, tak bardzo chciałem je wycisnąć; mnie takie higieniczne prace nie brzydzą.

Powinienem raczej zostać Aniołem Stróżem jakiejś dziewczynki, która by chciała, abym pomógł jej w pielęgnacji cnoty. A tak miałem tylko ciebie. I tę dramaturgię nocy! Śpisz często na plecach, więc przygniataś mnie niemiłosiernie ciężkimi snami. Przez wiele lat wypalałeś po paczce papierosów dziennie i zrobiłeś ze mnie biernego palacza, wielokrotnie bardziej od ciebie zagrożonego rakiem i chorobami serca. Dodatkowo wciąż byłem zaziębiony. Jesteś tak chudy, że wiatr beztrudnie hula ci pomiędzy żebrami i nie mając o co się zaczepić, wpijał się we mnie. Łapałem infekcję za infekcją – różne odmiany grypy wymieniały się tylko nazwami. Winien mi byłeś przynajmniej ręcznie dziergany długi szalik na otulenie wydrążonego wirusami gardła, łyżkę syropu z babki lancetowatej. I jedno dobre słowo, obojętnie w jakim języku, byle nie barbarzyńskim.

– Chwileczkę – przerwałem mu recytację kolejnej pozycji na liście zażaleń. – Anioły Stróże to altruści, wolontariusze, społecznicy. Masz być moim lepszym alterego, a nie pracownikiem niebieskiej firmy windykacyjnej, który chce się wykazać, zabierając mi dobre samopoczucie i pewność siebie. Jesteś nieodpowiedzialny. Nie powinieneś mnie opuszczać tak często. Przez ciebie wpadłem w psychozę maniako–depresyjną. Chodziłem po cienkiej linii życia bez asekuracji, czasami skakałem na główkę do płytkiej wody i łamałem kręgosłup moralny. Jestem tylko bezwolną marionetką w twoich władczych rękach, a ty wiecznie obcinałeś wiążące mnie z tobą sznurki. Ładny z ciebie przyjaciel... Wiesz co, odwal się!

– Nie zrobię tego, nie jestem kamieniem przy grocie.

– To spadaj!

– Nie jestem kamieniem narzuconym z wysokości. Nie działa na mnie ziemski grawitacja.

*Aniele, Stróżu mój,
ty mnie nie de – ner – wuj!
Rano, wieczór, we dnie, w nocy,
zamknij buzię i spuść oczy.*

Mam go dość. Dość jego kostropatej złośliwości – sunącej na mnie lawiny oskarżeń i monstrualnie poirytowanego głosu. Pośladki bołą od długotrwałego siedzenia i podejrzewam, że kształtem przypominają dwie kulki lodów, które zsunęły się z wafelka i z głuchym plaśnięciem rozlały się na ugotowanym skwarze chodnika. Moje mięśnie nóg dopadła pewnie całkowita atrofia. Stopy spoglądają na mnie niemo – wydaje się, że

(dokończenie na str. 4)

(dokończenie ze str. 3)

z jakimś wyrzutem: „Facet, co ty z nami zrobiłeś?!” Odwracam od nich wzrok i poetyckim świadem potykam się o spojrzenie mojego Anioła. Jego dosadny wzrok o mało nie przepała na wyłot. Nagle dostrzegam w nich film; zaskakuje klatka po klatce. W anielskich źrenicach przewija się przeszłość: dziewczyna z wielkimi piersiami przygląda mi się bezczelnie, po czym naciska klamkę dziwnie znajomych drzwi.. Łóżko. Kolejny dzień. Łóżko. I łóżko. Łóżko. Łóżko. Łóżko. To Monika, moja pierwsza dziewczyna. Łukasz, mój przyjaciel i ona. Obejmują się, całują z siłą ssącej rury odkurzacza.

– Zdradziła cię – beznamiętnie relacjonuje Operator Filmowy z Niebios.

Akt drugi. Scena pierwsza. Zauważam chłopięcą sylwetkę Sylwii, niedbale rozrzuconą obok jakiegoś ziewającego chłopaka. Stop! Ten chłopak, to przecież ja sam! Chłopięca sylwetka dziewczyny pochyla się nad stolikiem i sięga po papierosa. Dym wydycha ustami: do otwartej butelki piwa.

– Zanudziłeś ją na śmierć – słyszę jego głos, wysuwającego się niepostrzeżenie zza kadru.

Brutalny Anioł pasie mnie jeszcze widokiem skąpo odzianej Ani i innej Ani z kilkuletnim synkiem (przysięgam, on nie mój). Jest jeszcze raz Monika i trzecia Ania.

I Natasza. Jej wierność trwała mniej więcej tyle, co kochanie. Spódniczka szerokości papierka lakmusowego, sportowe autko, bohema, pop art w mieszkaniu i ten napis, który los wypisał jej na plecach: „Neurologia”. Teraz już nie wiem, czy życie wykonało na niej egzekucję.

– Abrakadabra, abrakadabra, wracaj – zaskrzeczał mi nad uchem Anioł Stróż i znowu byliśmy tylko we dwoje, jeżeli nie liczyć demonów przeszłości, które wciąż czułem wiszące nad moją przeciążoną wspomnieniami głową.

Walnąłem go w twarz. Zauważyłem jeszcze jak złapał się za policzek i cicho zaklął.

Potem zreflektował się i przypomniał sobie, że jest bytem niematerialnym, bezcielesnym. Wzruszył ramionami.

– Nie spodziewałem się po tobie rewelacji. Zawsze byłeś kiepskim uczniem. A teraz z aksjologii masz u mnie pałę!

Poczułem się jak o czwartej nad ranem. Dno mojego mózgu przypominało spód filiżanki z kilkudniową kawą. Chciałem wgrzyźć się w suche skrzydło tego sadystycznego Anioła i odgryźć mu piórko po piórku. Najpierw lotki. Żeby stracił ten swój tupet na amen. Skulił się jak kilkugroszówka pod wykładziną. Życzyłem mu z całego serca, by trafił z niebieskich przestworzy do katakumb, na wieczną kwarantannę.

– Jesteś chory z urojenia! – rzucił mi jeszcze mój dziarski Aniołek, nim chwycił go drżącymi rękami za poły alby przypominającej zleżałe prześcieradło. Materia w moich dłoniach natychmiast się przemieniła. Trzymałem go raptem za różowy sweterek w niebieskie motylki. W chwilę potem za dzinsową koszulę, która szybko przybrała fakturę włosiennicy. Puściłem go jednak dopiero wtedy, gdy wyczułem palcami skórę. Zdążyłem jeszcze namacać opuszkami palców jej pory, którymi konwulsyjnie oddychała, jak wyrzucona z wody ryba. Na usta wczuł mi się grymas obrzydzenia. Zwymiotowałem w coś, co podstawił mi pod nos skrzydlaty potwór. Po chwili uniósł ów przedmiot na wysokość moich oczu. Wykwintna, kryształowa patera, a w środku szara breja.

– Wygląda całkiem jak twoje życie. Otacza cię doskonała, przeźroczysta, niewinna rzeczywistość, ale ty sam śmierdzisz jak zleżała padlina – słyszałem pod swoim adresem. Po czym zawartość paterki wylała mi się pod nogi.

Chrząknąłem. Podrapałem się w lewe skrzydełko nosa. Odgarnąłem fikcyjny włos z czoła. Wylałem mu skrzydła, pogięłem je jak stary, zetlały chrust; starte w dłoniach zamieniły się w czarny popiół. A ten stał. Spuszczona głowa. Kikuty skrzydeł.

Moje nogi. Protezy możliwości. Absencja motoryki. Stopotrzesiła w adidasach i w białych skarpetkach. Stopy wygięte w łuki jak mosty nad Wartą, bez odcisków, zadrapań, popękanych, zrogowaciałych pięt. Delikatna, lekko różowa barwa skóry tam, gdzie powinien być pot i znój, pot i znój, praca i wysiłek. Podeszwy bez ziarenka piasku i kropelki wody, jałowe tereny. I te małe, codzienne śmieciuszki. Każdego dnia zanika we mnie kolejna umiejętność. Nie potrafię już chwycić pewnie szklanki wody, nie obrócić się samodzielnie z boku na bok, nie mogę się już podpisać własnym imieniem ani nazwiskiem. Nawet krzyżkiem. Długopis włożony mi do ręki szybko wypada, pozostawiając puste palce, wykrzywające się jak szpony drapieżnika. Tylko czekam na moment, kiedy w moim domu przeprowadzą segregację śmieci. Zabiorę się z nimi pierwszym transportem.

Aniele, Strózu mój

Ty wbrew wszystkiemu stój.

Rano, wieczór, we dnie, w nocy,

Broń przed złem, strzelając z procy.

A gdy zniszczyć siebie chcę,

Ty decyzyjną moją zmien

– No, co ty – Skrzydlaty trącił mnie ostro zakończonym łokciem i po raz pierwszy spojrział na mnie z troską. – Chyba nie bierzesz tego wszystkiego tak poważnie. Każdy ma swoje złe dni, musiałem się komuś wyzalić. Padło na ciebie. Wiesz, załamałem się, kiedy okazało się, że jesteś ode mnie silniejszy psychicznie. Gdy usłyszałem postawioną ci diagnozę lekarską, zważyłem na nogę. Wyobraziłem sobie to moje trwanie przy tobie bez ruchu, bez przygód, statyczne zawieszenie w czasie i przestrzeni. Nicość, pustka, krople wody kapiące z kranu, gałęzie drzew uderzające w okno podczas podmuchu wiatru, cuchnące odleżyny, worki na fizjologię, brudne, długie paznokcie i zatkanie woskowiną uszy. Nie wiedziałem, że z ciebie taki elegancik, powsinoga bez nóg, taki optymistyczny pasikonik – powinienem podać się do dymisji, złożyć dobrowolną rezygnację ze swojego urzędu. Skompromitowałem swoją profesję. Możesz mnie wylać z roboty, zwolnić ze skutkiem natychmiastowym.

– Anioł Stróż na bezrobociu? – A co ze mną? – Wskakuj – uczyniłem głową lekki ruch w kierunku pleców. Oczy zaokrągliły mu się ze zdumienia, ale już nic nie powiedział. Nie mógł samodzielnie wejść na poprzednio zajmowane miejsce. Zwykle pomagał sobie skrzydłami, ale teraz... Były okaleczone. Wdrapał się w końcu na plecy, wchodząc po moich ramionach jak po pochylni. A potem zamiast unosić się w powietrzu dwa kroki za mną, wlał na barana. Zniszczone resztki skrzydeł sterczały wyzywająco w kierunku nieba, przypominając nadpalone resztki jakiejś konstrukcji.

– Ciekawe, kto tu jest czyim Aniołem Stróżem – mruknąłem pod nosem, odjeżdżając na elektrycznym wózku w kierunku drzwi wyjściowych. Tym razem były szeroko otwarte.

– Uważaj na głowę – zwróciłem się z życzliwą uwagą do pasażera na ramionach, który powoli zaczął zapadać w drzemkę. Odpowiedziało mi pełne zrozumienia chrapanie.

Niemiecki intelektualista o niemieckiej wojnie

Blok II pokój 66 (1944)

Koszary położone były wysoko, dominowały nad miastem niczym zamczysko. Monsalvat, zauważył pewien porucznik, najwyraźniej obeznany z operami, i rzeczywiście były one niedostępne, przynajmniej dla gapiów: trzeba było pokonać sto trzydzieści siedem schodków, by z ulicy Kolejowej dotrzeć do podnóża wzniesienia. Nic tak nie nastraja marzycielsko jak koszary!

Okna pokoju 66 wychodzą na plac ćwiczeń, pod oknami trzy małe jarzębiny, owoce o zblakłej purpurze, krzewy pobrązowiłe. Jest koniec sierpnia, jaskółki jeszcze śmigają, ale już zbierają się do odlotu. W jednym rogu ćwiczy orkiestra batalionowa, słońce skrzy się na trąbkach i perkusjach, grają popularne piosenki. Jest piąty rok wojny, a tu całkowicie odrębny świat, coś w rodzaju pustelni. Odgłosy komend pozostają czymś zewnętrznym; wewnątrz wszystko jest przytłumione, ciche. Miasteczko na wschodzie, ponad nim ten płaskowyż, na nim nasz Monsalvat, jasność budynek i ogromny plac ćwiczeń, coś jak pustynny fort. Najbliższa okolica również pełna osobliwości. Ulice, połowa w dolinie, połowa na wzgórkach, niebrukowane; pojedyncze domki, do których nie prowadzą żadne drogi, licho wie, jak mieszkańcy do nich się dostają; płoty jak na Litwie — omszałe, niziutkie, mokre. (...) Rankami nad osadą niesłychanie miękkie światło, jutrzeńka. Tutaj też wszędzie ta aura niereczywistości, poczucie dwuwymiarowości rzeczy, świat kulis.

Wokół szopy na placu ćwiczeń bloki mieszkalne: marzenia sennie. Nie sny o sławie, zwycięstwach, a sny o samotności, niepochwytności świata, szablonach. To, co rzeczywiste, odeszło daleko. Na frontowej ścianie bloku wejściowego, tzw. hali honorowej, wielkimi literami nazwisko generała: „Koszary im. Generała X”. Generał z pierwszej wojny światowej. Przez trzy dni wchodząc do bloku, pytałem prezentującego broń wartownika, czyje imię noszą koszary. Kim był generał von X? Żadnej odpowiedzi. Generał X nikomu nieznan. Zaginiony. Odszedł w niepamięć jego proporzec, proporczyk na samochodzie służbowym, świta sztabowców. Pamięć nie trwa dłużej niż dwa dziesięciolecia. Wyczuwa się silnie zaprawę murarską, efemeryczność, fałszywe oceny, wypaczony świat.

Bloki zalewane są przez fale poborowych. Można rozróżnić dwa typy: szesnastolatków — niedożywieni, niepozorni, nędzni osobnicy w typie wołów roboczych, strachliwi, ulegli, pilni, oraz wiekowych — pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatekowie z Berlina. Pierwszego dnia to jeszcze paniska, ubrani po cywilnemu, kupują gazetę, dziarski krok, który ma oznaczać: jesteśmy syndykami, samodzielnymi maklerami, agentami ubezpieczeniowymi, mamy ładne żony, centralne ogrzewanie, ten stan przejściowy bynajmniej nas nie dotyczy, to jest nawet zabawne — naza-jutrz są już w mundurach i całkowicie zgnojeni. Teraz muszą gnać przez korytarz, gdy usłyszą wrzask podoficera, uwijać się na podwórku, wlec skrzyńki, wciskać na głowę stalowe hełmy. Szkolenie trwa krótko, dwa do trzech tygodni; ciekawe, że uczą się strzelać już od drugiego dnia, dawniej zaczynało się to dopiero po upływie czterech do sześciu tygodni. A potem, pewnej nocy, zbiórka z tornistrem, zrolowanym płaszczem, pałatką, maską przeciwigazową, pistoletem maszynowym, karabinem — blisko sto kilo wagi — i na samochody, i jazda w mrok.

Ten wymarsz w mrok jest niesamowity. Na przedzie niewidzialna orkiestra gra marsze, wesołe rytmy, za nią posuwa się niema kolumna, ciągnąca na zawsze w zapomnienie. To wszystko odbywa się bardzo szybko, to tylko drobna rysa na milczeniu i czerni, pozostaje płaskowyż zanurzony w ciemnej nocy, gdzie nie odróżnisz ziemi ni nieba. Następnego ranka przybywają nowi. Ci również odejdą.

Na dworze podczas ćwiczeń jest teraz chłodniej. Poborowi otrzymują rozkaz rozcierania dłoni, pocierania dłońmi kolan, to poprawia krążenie, podtrzymuje życie, militarystyczna biologia. Bloki stoją, fale przelewają się z szumem. Wciąż nowe fale mężczyzn, nowe fale krwi, przeznaczone na to, by po kilku strzałach, po kilku wyuczonych chwytach bronią odejść w kierunku tak zwanego wroga i wsiąknąć we wschodnie stepy. Wszystko razem byłoby całkowicie niezrozumiałe, gdyby nie stała za tym wspiana postać generała w purpurze i złocie, który strzela i każe strzelać, a jego emerytura nie jest jeszcze bezpośrednio zagrożona. W porze obiadowej oficerowie spotykają się przy stole.

Od początku wojny nie ma już różnicy w jedzeniu między oficerami i prostymi żołnierzami. Pułkownik i szeregowiec tak samo dostają dwa chleby komiśne na tydzień, do tego — na kawałku papieru — porcję margaryny i sztucznego miodu, na obiad na głębokim talerzu kapuśniak lub garść ziemniaków w mundurkach, które trzeba sobie obrać na stole (przykrytym ceratą, dopóki jest, albo „zorganizowanym” prześcieradłem), obrane ziemniaki kładzie się obok talerza, czekając na zupę lub sos. Pułkownik dowodzący moim oddziałem zjawia się pewnego dnia — nieogolony. Nie ma już zapasowych brzytw, ostrzyż też nie ma na czym. W oddziałowej fryzjerni nie wolno golić — brak materiałów. (...)

Wszyscy ci ludzie, udający dziarskich wojaków, w głębi duszy myślą tylko o tym, jak by tu przywieźć żonie grzybów, gdy przyjadą na urlop, albo czy syn radzi sobie w szkole i żeby znów nie wylecieli na bruk, tak jak w 1918 roku, jeśli — na takie określenie pozwalają sobie czasami — „nie wyjdzie”. Są to prawie bez wyjątku oficerowie starej armii, z grubsza pięćdziesięciolatekowie, uczestnicy wojny światowej. W międzyczasie byli przedstawicielami firm papierosowych czy papierniczych, urzędnikami rolnymi, masztalerzami w związkach jeździeckich, mieli ciężkie życie. Teraz są majorami. Nikt z nich nie zna obcego języka, nie oglądał obcych krajów poza czasem wojny. (...) Jakkolwiek trudno się tu było spodzie-

wać wyżyn intelektualnych, próbowałem wczuć się w moje otoczenie. Bo i któż nie głowił się nad tym nieustannie, jak to było możliwe i jeszcze jest możliwe, że Niemcy wciąż pozwalały się prowadzić temu tak zwanemu rządowi, tej garstce awanturników, którzy już od dziesięciu lat co jakiś czas wygłaszali te same zdania w tych samych salach przed tą samą publicznością, tym sześciu błaznom przekonany, że wiedzą wszystko lepiej niż tyłu innych przez wszystkie stulecia przed nimi niż rozsądnie myśląca reszta świata. Taki właśnie był ten rząd.

Był już piąty rok wojny, ponury rok znaczonej klęskami, błędnymi rachubami, wypieraniem z kolejnych części świata, storpedowanymi okrętami, milionami trupów, zbombardowanymi metropoliami, a mimo to masy nadal słuchają bredzenia przywódców i we wszystko wierzą. Co do tego nie ma wątpliwości. Przynajmniej ci, których nie dotknęły bombardowania, święcie wierzą w nową cudowną broń, tajemnicze środki odwetowe, druzgocące przeciwwuderzenia, które wkrótce nastąpią. Ci na górze i ci na dole, generałowie i kuchty. Mistyczne zjednoczenie błaznów, prelogiczny kolektyw ubogich doświadczeniem — coś na pewno typowo germańskiego, co da się w cerebralnym wymiarze wyjaśnić tylko w takim właśnie antropologicznym sensie. Peryferyjnych antropologicznych wyjaśnień dałoby się znaleźć dwa, po pierwsze, miasta średniej wielkości i wieś nawet dziś nie odczuwają zbytnio skutków wojny, ludzie mają co jeść, resztę sobie organizują, nalotów bombowych nie znają, o odpowiedni nastrój dba Goebbels, a poza tym na wsi pogoda zawsze odgry-



dr Gottfried Benn

wała większą rolę niż poglądy. Po drugie, rodziny dużo łatwiej przechodzą do porządku nad stratami niż naród to sobie wyobraża. Umarli umierają szybko, a im więcej umiera, tym szybciej są zapomniani. Poza tym między ojcem a synem z natury rzeczy antypatie równoważą sympatie, nienawiść dzieli ich tyleż, co łączy miłość. Co więcej, polegli synowie mogą być pomocni w awansie, przynoszą ulgi podatkowe, sprawiają, że starość ojca nie jest pozbawiona blasku. Ze względów wychowawczych dobrze byłoby uświadomić to młodzieży, mieliby wówczas właściwy pogląd na sprawę, gdy kiedyś usłyszą w szkole o nieśmiertelnej chwale bohaterów i wdzięczności tych, co przeżyli.

Armia w tym piątym roku wojny opiera się na dwóch filarach — podporucznikach i marszałkach, inne stopnie się nie liczą. Podporucznicy: wszyscy z Hitlerjugend, mają więc za sobą wychowanie, którego istotą było wykorzenienie wszelkich treści intelektualnych i moralnych z książek i zachowania. Jego namiastka to wodzowie Gotów oraz sztylety, a podczas marszów ćwiczebnych noclegi w stogach siana. Trzymani z dala od rodziców mających jeszcze tradycyjne wykształcenie, wychowawców, duchownych, środowisk humanistycznych, jednym słowem wszelkich podmiotów oświaty, a wszystko to już przed wojną: świadomie, w jasno określonym celu, w sposób dobrze przemysłany — tak wyposażona młodzież przyjęła na siebie zniszczenie połowy świata jako aryjską misję.

O marszałkach tylko jedno słowo: mało kto wie, że otrzymują oni dożywotnio pensję marszałka, i to nie opodatkowaną, także dożywotniego adiutanta spośród oficerów sztabowych, a gdy kończą czynną służbę — majątek ziemski lub obszerną działkę w berlińskiej dzielnicy Grunewald. Ponieważ w naszym państwie prawa ten, który mianuje marszałków, jest także tym, który ich degraduje, a w tej ostatniej funkcji nie cofa się przed groźbą pozbawienia tytułów, orderów, zaopatrzenia emerytalnego, a nawet represji wobec rodziny — marszałkowie jako dobrzy ojcowie rodzin są właściwie prawie że usprawiedliwieni, choć i tak nikt nie uważał ich za demonów.

Zastanawiając się nad obecną wojną i poprzedzającymi ją latami pokoju, o jednym nie wolno zapominać — o potwornej pustce egzystencjalnej dzisiejszego niemieckiego mężczyzny, któremu nie pozostawiono nic z tego, co u innych narodów stanowi treść życia wewnętrznego: uczciwe treści patriotyczne, życie publiczne, krytyczny odbiór rzeczywistości, życie towarzyskie, wrażenia kolonialne, autentyczna tradycja — u nas była tylko pustka wypełniana historycznym bełkotem, degradacją oświaty, bezczelnymi oszustwami politycznymi ze strony rządu i tanim sportem. Co innego nosić mundur, który ściąga na siebie wszystkie spojrzenia, przyjmować meldunki, pochylać się nad mapami, przebiegać ze świątą pomieszczenia żołnierzy i rozległe place — rozporządzać, kontrolować, wygłaszać bombastyczne przemowy („nigdy nie cofam rozkazu” — a chodziło o czyszczenie latryn), to wszystko daje poczucie wypełnienia przestrzeni życiowej, osobistej ekspansji, ponad-osobowego działania, krótko mówiąc cały ten kompleks treści psychicznych, których potrzebuje przeciętny mężczyzna. Sztuka zabroniona, gazety zniszczone, własne zdanie kwitowane strzałem w tył głowy — w Trzeciej Rzeszy przestały istnieć ludzkie i moralne progi wypełniania przestrzeni życiowej. Tutaj jedynie markowano przestrzeń życiową; przechodząc po mostach pontonowych, czekając na wybuch ładunku, spoglądając w celownik optyczny, jednostka odbierała własną egzystencję w wymiarach kosmicznych wydarzeń.

W Naczelnym Dowództwie Wehrmachtu funkcjonuje Wydział Prasowy, który koordynuje „duchowe kierownictwo zbrojne”. Na czele stoi oczywiście generał. Współpracownicy to liczni pisarze z okresu Republiki Weimarskiej oraz naziści. Sledzę pilnie ich elaboraty, wszystkie te „Wiadomości dla oddziałów”, „Wiadomości dla korpusu oficerskiego”, „Materiały szkoleniowe”, „Wskazówki do narad kompanijnych” itp. Nawiasem mówiąc, są to wszystkie publikacje ogólnodostępne. Wydział jako taki jest filią ministerstwa Goebbelsa, specjalizując się w dosadnych żołnierskich określeniach: drań, huncwot, świnia, zasraniec — to jest ten własny przyczyniek duchowy Wydziału, a odnosi się one oczywiście do inaczey myślących. W tekstach tych pojawiają się regularnie „młode narody”, którym należy się zwycięstwo. Młode narody! Siebie określa owo duchowe kierownictwo zbrojne jako „królewską sztukę”, która „odwołuje się do najszlachetniejszych i najdumniejszych niemieckich cech charakteru”, już samo oddawanie honorów wojskowych ma być „oddawaniem honorów idei zbrojnych Niemiec” itd. Z innych tematów: „po zwycięstwie zbrojnym

niechaj przyjdzie zwycięstwo kolebek!”, „ustawy norymberskie ochroną nie tylko niemieckiej krwi, ale i niemieckiego honoru”; a dalej: „śmiertelne niebezpieczeństwo”, w jakim się znaleźliśmy, oraz „akcja ratunkowa Führera w ostatniej chwili”. Tylko duchowe kierownictwo zbrojne daje żołnierzowi siłę do tego, by nawet w niewoli potrafił złamać „duchowy terror” wroga. Żydowsko-bolszewicką prasę brukową należy oczywiście zmieść z powierzchni ziemi; najpierw (w grudniu 1943) należy uświadomić żołnierzom („możliwie najprościej i najplastyczniej”), „że w ciągu ostatnich dziesięciu lat Stalin poniósł druzgocącą klęskę polityczną”. Dalej duchowe kierownictwo orzeka: Wiochy — zdrajcy, bezwstydnym czyn, łobuzy; Rosjanie — meeting zemsty, perwersyjny sadyzm, stepowe seanse nienawiści; Amerykanie kradną rannym zegarki, sakiewki, wieczne pióra. Stalin — gad, włamywacz z Tbilisi, Roosevelt — naczelny gangster, pracy do wojny przy wykorzystaniu „sześciostrażalowego” Ekwadoru i Boliwii; Churchill — żłopiący whisky, który już w młodych latach porzucił uczciwą dziewczynę z dobrego domu, by przyhołubić amerykańską plutokratkę. Tylko wystrzegać się „delikatnych tonów”: denuncjować tych, co opowiadają dowcipy; nawet partnerki przy stole natychmiast aresztować; potajemnie słuchający radia, zasraniec, strzał w tył głowy! (...)

Jesień wokół naszych bloków była, tak jak w całej Rzeszy, niebezpiecznie sucha, pola żżarte przez mrazy, zbiory ziemniaków katastrofalnie niskie, buraki zawierają zbyt mało cukru. Utrata terenów wschodnich to dla wyżywienia ubytek w wysokości dwumiesięcznych racji chleba, miesięcznej racji tłuszczu, miesięcznej racji mięsa. Obcina się racje żywnościowe. Skończyły się oficerki, brakuje skóry; nie ma protez dla kalek wojennych, skończył się materiał. Brak sznurowadeł, sztucznych szczęk, opasek z gazy, naczyń na moc; brakuje lekarzy, całe dywizje idą na front bez jednego choćby chirurga, jeśli chodzi o ludność cywilną, to w niektórych rejonach przypada dwadzieścia pięć tysięcy mieszkańców na jedną lekarzkę, która w dodatku nie ma benzyny. A tymczasem Führer wręcza naszymy wojskowe, ustala szerokość wstęgu w wienców na obchody wojskowe, zabrania żołnierzom małżeństw z kobietami innych narodowości, nawet skandynawskimi: „najszlachetniejsza nordycka kobieta” to „podrzędny materiał rasowy” w porównaniu z kobietami wielkoniemieckimi. Zewsząd otacza nas nierealny świat.

Któregoś dnia w listopadzie muszę jechać służbowo do Berlina. Podróżowanie zalicza się do najwyższych wysiłków sportowych. Nie istnieje regularna komunikacja kolejowa. O drugiej w nocy na dworcu, z którego mam odejść, zatrzymuje się dziwny pociąg: osiem wagonów sypialnych, cztery wagony pierwszej i drugiej klasy, prawie puste, na końcu wagon z oddziałem przeciwlotniczym. Wsiadam. Jakis esesman wyciąga mnie natychmiast z pociągu. Nic nie rozumiem. Esesman melduje, że jest to pociąg z głównej kwatery Führera, przeznaczony wyłącznie dla najwyższych sztabowców. No tak, mógłbym mieć w aktówce granat. Wsiadam do następnego pociągu, a raczej wciskam się do toalety w trzeciej klasie — ja w mundurze pułkownika pomiędzy robotnikami ze wschodu. Toaleta jest przez cały czas otwarta, muszą z niej korzystać kobiety i dzieci, drzwi nie da się zamknąć, przesunąć się nie sposób, ale nikomu to nie przeszkadza. Po jakimś czasie mam przesiadkę. Tym razem dostaję się do przedziału drugiej klasy, lecz muszę stać w przejściu. Trzej rośli smarkacze w uniformach partyjnych rozpięrają się na miękkich siedzeniach.

W przejściu stoją siwowłose kobiety, kobiety z dziećmi. Rasa panów wyciąga butelkę koniaku, paczkę cygar (zwykli członkowie „wspólnoty narodowej” otrzymywali jedno cygaro dziennie, ale nie koniak) i raczą się aż do Berlina przed czekającymi ich zadaniami partyjnymi („ruch ozdrowienia”). Tego samego dnia w gazetach ukazał się artykuł głoszący, że pośród odznaczonych krzyżem rycerskim i poległych jest znacznie więcej partyjnych niż niepartyjnych. I że nie ma już kategorii „niezbędny na tyłach”. Do tego uwaga: „odwrotne wrażenie, jakie może czasem powstać, to złudzenie optyczne”. W takim razie moi trzej towarzysze podróżni musieli być częścią tego złudzenia optycznego. (...)

W grudniu roku 1943, a więc w tym samym czasie, gdy Rosjanie odepchnęli nas o tysiąc pięćset kilometrów i w dziesiątkach miejsc przebili się przez naszą linię frontu, pewien podpułkownik, maleńki jak kolibber i łagodny jak gołąbek, mówi podczas obiadu: „Najważniejsze, żeby te świnie się nie przebiły”. Przebić się, zwinąć front, oczyścić teren, dzia-

łania bojowe w ruchu — jakaż potęga tkwi w tych słowach, pozytywna w sensie bluffowania, negatywna w sensie zaciemniania faktów. Stalin-grad: tragiczny przypadek; klęska U-Bo-otów: przypadkowy mało ważny wynalazek Anglików; Montgomery ścigał Rommla cztery tysiące kilometrów od El Alamein aż do Neapolu: zdrada kliki Badoglio. W tym samym czasie zjechała do nas jakaś szucha partyjna i zjawia się na obiedzie. Mój pułkownik, ze starej szkoły, kawalerzysta, rycerz maltański, który w monoklu bierze przeszkody i w monoklu kładzie się spać, zamienia go na czarne okulary rogowe, by nie urazić u bonzy poczucia wspólnoty narodowej i nie narazić własnej przyszłości. (...)

Tymczasem zbliża się Boże Narodzenie. Otrzymujemy specjalny dodatek w postaci dziesięciu deka metki, a do tygodniowej porcji mięsa dwadzieścia pięć procent sproszkowanego ryżu. A kto zrezygnuje z trzech deka margaryny i dziesięciu deka cukru, może dostać struclę. Wpisuję się na listę. Śpiewanie kołęd jest zabronione, pożądane natomiast przeżywanie zimowego przesilenia dnia z nocą pod hasłem odnowienia światła z tona Matki Natury, dowódcy mają polecenie służbowe dopilnowania tego. Ale póki co o odnowie trudno tu mówić. Stoję przy oknie pokoju nr 66, podwórze koszarowe spowite szarym światłem, szarością skrzydeł mew zanurzających się we wszystkie morza. Nadeszły święta. W Wigilię rano nalot na Berlin; każdy zastanawia się, czy jego mieszkanie ocalało, ilu z garstki znajomych tam mieszkających przeżyło. Potem nadchodzi wieczór, przynoszą mi posiłek. Pytam mojego ordynansa, jak tam z jego astmą, ale on niedosłyszy, rozmowa natrafia na trudności. Znow patrzę na plac, a potem dalej w kierunku nizin, stepów, na wschód — wszystko jest tak blisko, wszystko naraz obecne, niezliczone pokole-

nia, które nie potrafiły dojść ze sobą do ładu. A potem nadchodzi Święta Noc 1943 roku.

Wkrótce po Bożym Narodzeniu przychodzi rozkaz, że mamy opróżnić bloki, aby zrobić miejsce oddziałom wycofującym się ze wschodu, ruszamy dalej, ja też. Służba czynna, rezerwa i cała reszta: oni też pociągną z nami, będą działać razem z nami? Szumne słowo: działać! (...)

A potem na wschodzie nastąpił koniec. Na pytanie do komendanta miasta w może pokazać się w dali czołg zwiadowczy, ale miasto będzie utrzymane, a kto wysłałby żonę do Berlina, też zostanie rozstrzelany. A następnej nocy o piątej — alarm, ostrzał artyleryjski, gnamy z jedną tęczuszką w zawiei śnieżnej przy dziesięciostopniowym mrozie piechotą do domu po oblodzonych szosach, zapchanych niekończącymi się rzędami kolumn z furmankami przykrytymi plandekami, z których wypadają martwe dzieci. W Kostrzynię załadowano nas do otwartego wagonu bydłowego, którym w ciągu dwunastu godzin pod ostrzałem lotniczym pokonaliśmy te sześćdziesiąt kilometrów dzielące nas od Berlina i dotarliśmy na Dworzec Zoo. Takı koniec pisany był całemu naszemu wschodowi — miasto po mieście. W naszym mieszkaniu obcy ludzie, puste izby, przykryliśmy się moim płaszczem żołnierskim i gazetami, by się obudzić na odgłos syren.

Tak się skończyło moje życie w bloku II, pokój 66.

W tych koszarach napisałem: Powieść fenotypu, wiele części Świata wyrazu, między innymi Pallas, a z „wierszy statycznych” na przykład Ach, ten daleki kraj, Wrzesień, Wtedy; Wiersze statyczne i inne.

G. Benn „Podwójne życie” – Po nihilizmie, s. 313-330, przełożył Jan Koźbiał



Dom w Gorzowie przy ulicy Szopena 68, w którym mieszkał G. Benn

Karol Graczyk

SEPIA

(na odwrocie: grudzień 1913)

Kremowe rysy przecinają ciemny brąz, wyrrywają trzaski, jakby to miała być klatka starego filmu, w którym on i ona grają pierwszoplanowe role Oskara Fischingera.

Zastanów się: on mógł być właścicielem ziemskim i poznać ją, kiedy gościła w dworku barona von Nolkena. Ona mogła wyjść za niego lub pozostać z nazwiskiem, ale bez przyszłości.

Pobrali się. On trzymał w ryzach całą okolicę i był zwolennikiem wojny, ona zaszła w ciążę i płakała, kiedy zaciągał się do armii carskiej.

Urodzi w sierpniu, dwa miesiące później umrze na gruźlicę nie wiedząc jeszcze, że mąż zginął w bitwie pod Gąbinem. Ziemię tuż po wojnie

zrabują, zabiją wszystkich mężczyzn, łącznie

z małym Heniem, a kobiety wielokrotnie zgwałcą. Osiemdziesiąt lat później postawią tu kościół.

Robert Rudiak

STRATYFIKACJA POKOLENIOWA PISARZY LUBUSKICH

III. POKOLENIE „MOMENTU WEJŚCIA”

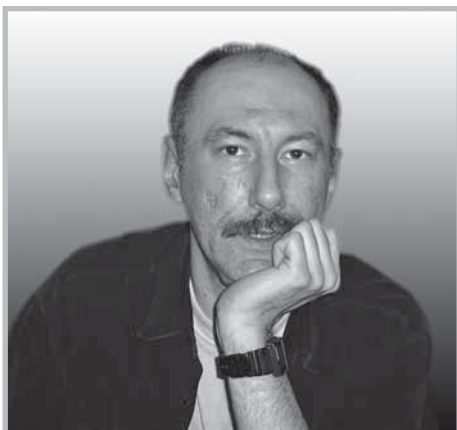
Kolejne pokolenie lubuskich twórców literatury nazwać można pokoleniem spod znaku „momentu wejścia”, mimo iż składa się ono głównie z osób urodzonych w latach 50-tych, których debiuty literackie przypadły na lata 70-te, rzadziej na początku lat 80-tych (tzw. spóźnione debiuty), a więc przedstawiciele ogólnopolskich nurtów „Nowej Fali” i „Nowej Prywatności”.

Wydarzenia polityczne roku 1968 i 1970 odbiły się echem również w życiu społeczno-kulturalnym i stanowiły przeżycie pokoleniowe dla nowej generacji – także pisarskiej, rozpoczynając nowy okres w dziejach współczesnej kultury. Na parnas literacki wstępować zaczęła nowa formacja określana mianem „Nowej Fali”

– poeci urodzeni między czterdziestym czwartym a pięćdziesiątym rokiem, którzy do głosu doszli około 1968 roku. Nie znali zatem okupacji, a dojrzewali w klimacie „małej stabilizacji” i życiowej stagnacji. Bunt „nowofalowców” skierowany więc został przeciwko władzy i oficjalnym doktrynom państwowym. Jednakże wydarzenia z marca ’68, a także wypadki grudniowe, nie stanowiły momentu przełomowego w życiu lubuskiego środowiska literackiego. Nie pozostawiły też widocznych śladów w świadomości społecznej i artystycznej młodych Lubuszan. W lokalnym dzienniku partyjnym ukazała się jedynie rezolucja zielonogórskiego oddziału ZLP w sprawie wydarzeń marcowych, w której potępiono wystąpienia studenckie, a Radio Wolna Europa, które tego samego roku nadało audycję o lubuskim środowisku literackim, nie wspominało nic o włączeniu się miejscowych pisarzy w demonstrację niezadowolonych społecznych. Podobnie było już wcześniej z poznańskim czerwcem ’57, a także z grudniem 1970 roku. Sytuacja „nieangażowania” się Lubuszan w rozgrywki polityczne wynikała po części z oddalenia i odseparowania Zielonej Góry jako stolicy regionu od dużych miast województw ościennych (Wrocław, Poznań, Szczecin), a po części z tego, iż w 1968 roku środowisko studenckie dopiero zaczynało się kształtować, Zielona Góra nie uchodziła więc jeszcze za ważny ośrodek akademicki w zachodniej Polsce.

O nikłym zainteresowaniu polskimi przeobrażeniami 1968 i 1970 roku w środowisku lubuskich literatów najlepiej świadczy fakt, iż prawie żaden z młodych „wstępujących” w tym okresie na parnas literacki nie utożsamiał się z „Nową Falą”. Wyjątek stanowią tu poniekąd W. Czerniawski, a także J. Kurowicki, który przez długi czas związany był z ośrodkami uniwersyteckimi. Dopiero w następnej po „Nowej Fali” generacji literackiej – „Nowej Prywatności” (nazywanej też „Nowymi Rocznikami”), pojawiła się największa grupa lubuskich twórców, którzy zadebiutowali na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych (Cz. Sobkowiak, J. Chłodnicki, M. J. Warszawski, Z. M. Jelinek, Cz. Markiewicz, E. Kurza-wa, W. Śmigieński, K. J. Furman, R. M. Jabłoński, J. Pytel, W. Mystkowski). Wielu z nich wywodziło się ze środowisk studenckich, także z uczelni zielonogórskich.

Na Ziemi Lubuskiej debiut i zaistnienie medialne zdecydowanej większości z tej grupy twórców zapewniło wydanie w 1976 r. almanachu poetyckiego „Moment wejścia”, opracowanego przez A. K. Waśkiewicza. Publikacja zbiorowa umożliwiła start literacki większości jej autorom. Pomoc w zaistnieniu i promocji talentów poetyckich adeptom sztuki literackiej umożliwiały też różnorodne instytucje i organizacje młodzieżowe, jak LTK i WSP w Zielonej Górze oraz GTK i RSTK w Gorzowie, wokół których to instytucji tworzyły się kluby i sekcje literackie. Ferment w lubuskim ruchu literackim zasiały też liczne zgrupowania młodoliterackie, zwłaszcza działające na uczelniach zielonogórskich grupy poetyckie



– Studencki Klub Poetycki „54” i Studencki Klub Poetycki „Komety” z WSP oraz Grupa Poetycka WSIInż. przy Klubie „U Jana”, oraz niezwiązane ze środowiskiem akademickim – np. zielonogórska „Pięta Kolumna”, grupa „Dziewin-Młodzi” z Żar i Grupa Literacka Młodych z Nowej Soli czy Klub „Formaty” ze Świebodzina. Młodzi poeci gromadzili się też wokół redakcji pism poświęconych ruchowi młodoliterackiemu – studenckiego „Faktora”, „Młodej Myśli” – dodatku do „Nadodrzza” i „Szpałt Młodych” zamieszczanych w „Gazecie Zielonogórskiej” oraz „Ziemi Gorzowskiej” – organu GTSK, potem GDK.

Pokolenie „MW”, tj. twórców urodzonych w latach 50. Markiewicz nazwał pokoleniem „juniorów” stojących w opozycji do generacji wcześniejszych – pionierów i postpionierów (seniorów). Ale pokolenie juniorskie samo ulegać zaczęło rozdrobnieniu i wewnętrznemu podziałowi. Wpływ na rozwarstwienie ruchu młodoliterackiego miał także fakt, iż wśród „młodych” stażem literatów zaczęli pojawiać się „jeszcze młodsi” – pierwsze pokolenie twórców urodzonych już na Ziemi Lubuskiej (głównie roczniki pięćdziesiąte), których wczesny debiut przypadł na drugą połowę lat sześćdziesiątych. Byli to przeważnie studenci podejmujący naukę poza regionem lubuskim (np. Sobkowiak, Śmigieński, Szadkowski i inni), debiutujący jednak zazwyczaj w lubuskich mediach – „Nadodrzcu” lub na antenie zielonogórskiej rozgłośni radiowej, następnie wydawali debiutancki tomik wierszy w serii arkuszy LTK, a w dalszej konsekwencji niektórym udawało się też wydać książkę już w profesjonalnym wydawnictwie w obiegu ogólnopolskim. Taki był ustalony schemat awansu literackiego wstępujących na początku lat 70. Debiutanci drugiej połowy lat 70. to przeważnie przedstawiciele miejscowego środowiska akademickiego, debiutujący w prasie studenckiej („Faktor”, „Młoda Myśl”), którym zaistnieć w obiegu oficjalnym pozwolił almanach „Moment wejścia”. Stąd publikują oni później swoje książki poza regionem, zwłaszcza w Młodzieżowej Agencji Wydawniczej (Cz. Markiewicz, E. Kurza-wa, A. Weber, W. Mystkowski).

Do pokolenia „momentu wejścia” („juniorów”) należą: Benedykt Banaszak (1947), Jerzy Chłodnicki (1943), Kazimierz J. Furman (1949), Jerzy Habich (1953), Romuald M. Jabłoński (1956), Zbigniew M. Jelinek (1955), Ryszard Jonaczyk (1955), Eugeniusz Kurza-wa (1954), Anna Kwapisiewicz (1957), Czesław Markiewicz (1954), Waldemar Mystkowski (1954), Jolanta Pytel (1952), Nina Pawłowska (1951), Czesław Sobkowiak (1950), Wojciech Z. Śmigieński (1952), Jerzy J. Szadkowski (1954), Mieczysław J. Warszawski (1950), Andrzej Weber (1955), Teresa Wilczyk (1957), Andrzej Żuczkowski (1952). W zasadzie jest to już bez wątpienia pokolenie ludzi urodzonych na Ziemi Lubuskiej, a więc Lubuszan „z krwi i kości”, których dzieciństwo i okres dojrzewania nierozzerwalnie związany był z nowym regionem i stał się ich „małą ojczyzną”. Jako liderów osławionego już almanachu młodych, który dokonał generacyjną zmianę w lubuskim życiu literackim, Cz. Markiewicz wskazał Warszawskiego, Sobkowiaka i Czerniawskiego, w opozycji do których stanęli już typowi „juniorzy”, jak E. Gramont (1952), Z. Jelinek czy J. Habich.

Należy tu jeszcze wymienić grupę poetów spod znaku tzw. „spóźnionych debiutów” tzn. urodzonych w latach 50., lecz często debiutujących w latach 80. lub nawet 90., m.in. Elżbieta Skorupska-Raczyńska (1955), Grażyna Rozwadowska-Bar (1959), Ewa Soroko (1956), Maria J. Fraszewska (1958), Aldona Robak (1958), Krystyna Caban (1951), Bernadetta Doberschuetz-Kajdan (1959), Irena Zielińska (1956), Kalikst

Kucharski (1958), Mirosław Kuleba (1958), Roman Habdas (1956), Jerzy Zysnarski (1951), Jerzy Grodek (1959).

Dużą rolę w promocji młodych odegrał też ruch wydawniczy – zbiorowe publikacje wstępujących w arkany poetyckie wydawane przez LTK, ZSMP, WSP i KKMP, towarzystwa kultury z Nowej Soli, Żar i Świebodzina oraz Wydawnictwo Poznańskie – „Tobie” (1972), „Moment wejścia” (1976), „Studencki Klub Poetycki «54»” (1977), „Zachłannie porywa nas czas” (1978), „Zaproszenie” (1980), „Grzech” (1980), „Na najbliższej szarej nucie” (1981) i „Nasz czas” (1982).

Ciągłość w zachowaniu poetyckiej sztafety pokoleń sprowokowane zostało kolejną zmianą warty, do której w latach 70. przyczynili się C. Sobkowiak, W. Czerniawski, K. Furman, J. Pytel i M. Warszawski. Jako kolejną generację po tym pokoleniu Markiewicz bez większego związku wymienia następne, które miałby współtworzyć głównie studenci: E. Kurzawa, C. Markiewicz, A. Weber, R. M. Jabłoński czy W. Mystkowski oraz Z. Jelinek. Zasadniczo jest to jednak to samo pokolenie połączone nie tylko wspólną datą urodzenia, a więc wspólnymi przeżyciami generacyjnymi, ale też wspólną datą debiutu, która zasadniczo przypadła na lata siedemdziesiąte.

Generacja twórców Waśkiewiczowskiego „momentu wejścia” oraz pokolenia postpionierskiego najliczniej zasiliły szeregi zawodowej organizacji pisarskiej na Ziemi Lubuskiej – oddziału ZLP, wstępując w szeregi Związku przeważanie pod koniec lat siedemdziesiątych i w latach osiemdziesiątych, ale także i później. W poczet członków ZLP weszli: Z. Jelinek, E. Kurzawa, Cz. Sobkowiak, M. Warszawski, G. Rozwadowska-Bar, J. Gross, K. Furman. Kiedy z początkiem lat 90. uformowała się opozycyjno-konkurencyjna organizacja pisarska wobec ZLP – Stowarzyszenie Pisarzy Polskich, jej członkami stali się m.in. E. Ferenc, W. Śmigielski, Cz. Sobkowiak i M. Kaziów.

IV. POKOLENIE ŚREDNIE (pogrudniowe)

Czwartym w kolejce generacyjnej jest pokolenie osób urodzonych przede wszystkim w latach 60-tych, debiutujących w latach 80. lub na początku lat 90-tych. Do niedawna jeszcze w publikacjach krytycznoliterackich pokolenie to nazywano „pokoleniem młodych”. Dziś są to już praktycznie pokolenie wieku średniego, składające się przeważnie z czterdziestokilkulatków. Reprezentanci tej formacji pokoleniowej, nazywanej też „pokoleniem 1980” bądź „undergroundowym”, zaczęli wchodzić do obiegu literackiego różnymi drogami (niekiedy nieoficjalnymi), kiedy wejść nie było łatwo z uwagi na lata kryzysu gospodarczego, wzmoczoną aktywność cenzury i zakaz prowadzenia działalności kulturalnej w okresie stanu wojennego. A więc start literacki dla większości z nich nastąpił po okresie Grudnia '81 (stąd określenie „pokolenie pogrudniowe”), a przeważnie debiutowali oni w okolicach połowy lat 80. bądź na przełomie lat 80. i 90.

Jest to też praktycznie drugie pokolenie twórców urodzonych i wychowanych na Ziemi Lubuskiej. Organizacyjnie i instytucjonalnie pomagały zaistnieć im na rynku wydawniczym towarzystwa kultury – Lubuskie Towarzystwo Kultury i Gorzowskie Towarzystwo Kultury oraz Kluby Literackie przy nich reaktywowane po zniesieniu stanu wojennego. Już w 1986 roku wznawia działalność Klub Literacki LTK w Zielonej Górze wydając debiutantom serię indywidualnych arkuszy poetyckich.

Do przedstawicieli pokolenia średniego, które Markiewicz nazywa „pokoleniem kryzysu”, zaliczają się: Artur Bakoś (1968), Piotr Bukartyk (1964), Sławomir Gowin (1965), Robert Gromadzki (1963), Krzysztof Fedorowicz (1970), Daniel Kalinowski (1969), Jacek Katarzyński (1966), Dorota Kozanowska (Muszyńska-Koza, 1963), Dariusz Muszer (1959), Robert Popiel (1968), Robert Rudiak (1966), Anita Simonjetz (1967), Ziggy Stardust (Andrzej Tokarski, 1965), Leszek J. Sut (1968), Jarosław Wróblewski (1963), Marek Zgaiński (1961). Z tego grona twórców tylko M. Zgaiński, R. Rudiak, D. Kozanowska i A. M. Szewczuk zostali przyjęci do ZLP, natomiast K. Fedorowicz stał się członkiem SSP.

W latach osiemdziesiątych pojawiły się także dość mocno spóźnione debiuty poetów urodzonych w latach czterdziestych, a więc rocznikowo przynależnych do pokolenia postpionierów – Kazimierz Jankowski (1945), Jerzy Przybecki (1948), Lech Tuchocki (1940), Beata Ananiewicz-Szmidt (publikowała też pod nazwiskami Langenaken i Królak, 1947), Wiesła-

wa Michalak-Miłkowska (1941) i urodzonych w latach pięćdziesiątych, wspomnianych wcześniej, gdyż przynależnych do generacji „momentu wejścia” – Zbigniew Jelinek, Anna Kwapisiewicz, Elżbieta Skorupska-Raczyńska, Kalikst Kucharski, Ryszard Jonaczyk, Bernadetta Doberschuetz-Kajdan.

Spóźnione debiuty są marginalnymi zjawiskami poetyckimi, wydają się być poboczami ruchu literackiego, gdyż najważniejszy był tzw. debiut właściwy, należący do pokolenia lat sześćdziesiątych. Poeci ci debiutowali arkuszami wierszy, wydanymi w oficynach regionalnych towarzystw kultury lub w oficynach studenckich. Pomagały w tym zwłaszcza istniejące już placówki kulturalne i instytucje literackie (LTK, „Nadodrze”, WSP, „Faktor”, Kluby Literackie LTK i GTK, sekcje literackie RSTK, audycje radiowe) oraz tworzące się nowe oficyny wydawnicze, np. przy bibliotekach, muzeach czy galeriach.

Pokolenie „pogrudniowe” pisarzy urodzonych w latach sześćdziesiątych Cz. Markiewicz nazwał „opozycją pokoleniową” w stosunku do roczników lat pięćdziesiątych tzw. „juniorów” i roczników wcześniejszych. Lata osiemdziesiąte, lata kryzysu gospodarczego według Cz. Markiewicza stanowiły „czarną dziurę” w naturalnym procesie zmiany pokoleniowej twórców lubuskich, którą niejako „załatać” próbowały instytucje od lat propagujące twórczość młodych poetów, przede wszystkim LTK, które umożliwiała im debiut. Owa „czarna dziura” to efekt pustki wydawniczej, jaka nastąpiła pomiędzy wydaniem „Momentu wejścia” w 1976 a „Rozpoznani spośród” w 1997 r., którą wypełniały indywidualne tomiki poetyckie z serii LTK.

Debiutanci urodzeni w latach sześćdziesiątych, zwłaszcza D. Muszyńska, M. Zgaiński, D. Muszer, J. Katarzyński, P. Bukartyk, A. Simonjetz, A. Bakoś, J. L. Sut, R. Gromadzki, R. Rudiak oraz młodszy od nich K. Fedorowicz (rocznik 70-ty), a więc w większości członkowie grupy literackiej „Budowa II” (Gromadzki, Rudiak, Katarzyński i Fedorowicz), doprowadzili – jak stwierdza Cz. Markiewicz – do pokoleniowej „zmiany warty” i w zdecydowanej większości stanowili o rozwoju i obliczu młodej literatury lubuskiej w następnej dekadzie, stając się na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych liderami ruchu młodoliterackiego. Do tzw. „spóźnionych debiutów” roczników 60-tych zaliczyć należy z pewnością Artura Szubę (1967), Joannę Ziemińską-Kurek (1960), Jolantę Baworowską (1962), Cezarego Żołyńskiego (1964), Cezarego Wiśniewskiego (1969), Zygmunta Kowalczyka (1963), Annę M. Szewczuk (1967), Krzysztofa Jelenia (1963), która to grupa rozpoczynała start literacki w latach 90.

V. POKOLENIE MŁODYCH (Nowej RP)

Do niedawna jeszcze pokolenie „nowej RP”, a więc pierwsze pokolenie lubuskich twórców debiutujących już w niepodległej Polsce, wymieniane było jako ostatnia generacja w wielu opracowaniach krytycznoliterackich. Jest to pokolenie osób urodzonych w latach 70., których debiuty miały miejsce w latach 90. W przypadku tego pokolenia wyraźnie zauważalna jest dezintegracja środowiskowa, a nawet pewnego rodzaju świadoma izolacja. Nie są to twórcy, którzy wspólnie podejmują próby zaistnienia na rynku czytelnictwa.

Pokoleniowa zmiana warty zaszła więc z chwilą nastania wyzwolonej i niezależnej ojczyzny, co dla tego pokolenia jest niewątpliwym przeżyciem generacyjnym, gdyż dzieciństwo i wczesną młodość spędzają jeszcze w czasach PRL, natomiast w dorosłe życie wstępują i prowadzą już w III RP. Nie tworzą zatem żadnych organizacji, ugrupowań, nie zrzeszają się w jakiegokolwiek instytucje. Wręcz odchodzą od życia zinstytucjonalizowanego na rzecz pełniejszego rozwoju własnej indywidualności i niezależności artystycznej. Nie gromadzą się też wokół jakichś czasopism czy wydawnictw, właściwa rola tych instytucji w latach 90/ odwraca się – to mecenat teraz poszukuje wartościowych artystów i otacza ich opieką wydawniczą. Taką rolę przejmuje oficyna wydawnicza AND, która publikuje rokrocznie kilka debiutanckich tomików młodym poetom lubuskim oraz z inicjatywy Cz. Markiewicza wydaje w 1997 r. drugi od czasów Waśkiewicz almanach młodych – „Rozpoznani spośród”, w którym publikowane były utwory przedstawicieli pokolenia średniego („pogrudniowego”) i młodego („nowej RP”), które autor almanachu określa mianem „pokolenia transformacji ustrojowej”.

Podobne inicjatywy wydawnicze podejmuje Wojewódzki Ośrodek Metodyczny w Gorzowie, Mała Akademia Literatury i Wydawnictwo Arsenał w Gorzowie oraz miejsko-gminne ośrodki i domy kultury w małych miejscowościach, bądź nawet grupa środowiskowe np. młodych poetów zgromadzonych wokół ks. J. Hajdugi w Drezdenku. Niemalą rolę w promowaniu debiutantów spełniają też różnorodne stowarzyszenia twórcze i towarzystwa kulturalne, fundacje i organizacje paraliterackie, jak również stypendia artystyczne fundowane przez samorządy miejskie oraz mecenat prywatny, czyli tzw. sponsorzy i darczyńcy.

Do grona reprezentantów pokolenia „nowej RP”, wypromowanych głównie przez oficynę AND lub almanach Markiewicza, zaliczają się: Anna Artwińska (1977), Dariusz Bogacz (1978), Michał Chłodnicki (1976), Karol Francuzik (1977), Krzysztof I. Kazanowski (1973), Krzysztof Kilian, Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk, Agata Kotowska, Katarzyna Maciantowicz (1979), Wojciech Lewandowski, Małgorzata Moško (1978), Agnieszka T. Mućko (1977), Daniel Pogorzelski, Ewa Pietrusiak (1976), Anna Szczesna (1977), Marcin Szrama (1979), Aleksandra Urban (1974), Konrad Wojtyła (1978), Maciej Zdziarski (1979), Grzegorz Żegleń (1972), Jacek Uglik (1978), Agata Legan (1981). Trudno dziś zweryfikować dokonania czy jakkolwiek ocenić to pokolenie, gdyż jest ono jeszcze w fazie rozwojowej, mimo iż niektórzy jego przedstawiciele mają dziś już grubo powyżej 30 lat. Nieliczni z tej grupy poszczycić się też mogą wydaniem więcej niż tylko jednej publikacji książkowej czy jakimś poważniejszymi sukcesami literackimi.

Wydaje się, że pokolenie III Rzeczypospolitej rozbite środowisko wo nie potrzebuje się zrzeszać czy w inny sposób integrować, aby zaistnieć czy kontynuować kariery literackie. Upodabniają się w tej materii do przedwojennych niemieckich środowisk pisarskich Grünbergu i Landsbergu. Trzeba mieć też świadomość, iż wielu już z tych twórców pokończyło swoje przygody z Kaliope, ale jak wspominałem, w chwili obecnej trudno jest wyrokować, kogo z nich przykryje kurz, a kto wdrapie się na literacki parnas.

VI. POKOLENIE NAJMŁODSZYCH (milenijne)

Ostatnie i zarazem najmłodsze obecnie pokolenie lubuskich przedstawicieli, głównie sztuki lirycznej, stanowią osoby urodzone w latach 80., a debiutujące na przełomie XX i XXI wieku (w okresie przypadającego Millennium) lub w pierwszych latach XXI w. Przypomina ono dość silnie pokolenie swoich poprzedników – jest identycznie rozbite środowiskowo i funkcjonuje niemal w zupełnej izolacji. Druga połowa lat 90. charakteryzuje się całkowitą dezintegracją środowisk artystycznych i hermetycznym odseparowaniem twórców od siebie i społeczeństwa. Nie tworzą zatem grup poetyckich czy innych instytucji młodoliterackich, nie zrzeszają się w stowarzyszenia czy związki twórcze, nie wstępują do organizacji literackich ani niewiają lub czynią to bardzo rzadko, zazwyczaj okazjonalnie własnych czasopism czy art-zinów. Nie odczuwają potrzeby spotykania się z innymi twórcami czy też własnymi czytelnikami, nie pragną wymiany myśli, informacji i doświadczeń. Wyręcza ich w tym z pewnością internet, stąd zanika potrzeba kontaktu z drugim człowiekiem. Jest to pokolenie medialne, pokolenie internautów, które jednoczy się z sobą podobnymi głównie w cyberprzestrzeni.

Nie wydaje się tu istotne przytaczanie nazwisk tych twórców, są to bowiem ludzie bardzo młodzi – nastolatki lub dwudziestokilkulatki, którzy przygodę z poezją traktują niekiedy jeszcze jako formę zabawową. Niemniej, istotne jest odnotowanie pojawienia się najmłodszej (milenijnej) jak dotąd generacji twórców, którym w debiutach często dopomaga lokalny mecenat w postaci miejskich lub gminnych ośrodków kultury np. „Zamek” w Kożuchowie, Klub „Szufładera” Domu Harcerza w Zielonej Górze czy Zielonogórski Ośrodek Kultury, Wydawnictwo Arsenał w Gorzowie, placówki kulturalno-oświatowe w Gubinie czy Sulęcinie. Na głębszą ocenę i analizę dokonań twórczych tej formacji pokoleniowej przyjdzie jeszcze odpowiednia pora. Dzisiaj przypominałoby to po prostu wrócenie z fusów.

ROBERT RUDIAK

BIBLIOGRAFIA:

- Buck A., Literacki ruch młodych w Zielonej Górze, [w:] „Studia Zielonogórskie” 1998, tom 4,
 Kamińska K., Leksykon literatury gorzowskiej, Gorzów Wlkp. 2003,
 Koniusz J., Archeologia środowiska [w:] Cztery dekady. 40-lecie oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, Zielona Góra 2002,
 Koniusz J. Kamień z serca, Zielona Góra 1994,
 Koniusz J. Wiązania pamięci, Zielona Góra 1998,
 Kuncewicz P., Agonia i nadzieja. Poezja polska od 1956, Warszawa 1993,
 Kurowicki J., Nacznia osobności. O zjawiskach poezji lubuskiej – przegląd stroniczy, Zielona Góra-Wrocław 1998
 Kurowicki J., O poetach, „Informator Kulturalny Województwa Zielonogórskiego” 1995, nr 9 (44),
 Markiewicz Cz., Młoda poezja zielonogórska – wczoraj i dziś, [w:] „Studia Zielonogórskie” Markiewicz Cz., Rozpoznany moment osobności, Zielona Góra-Wrocław 2000,
 Markiewicz Cz., Zmiana warty, albo warta na zmianie, [w:] Rozpoznani spośród. Almanach młodej poezji zielonogórskiej, Zielona Góra-Wrocław 1997,
 Mieszkał w wierszu. Antologia poezji lubuskiej, pod red. M. Mikołajczak i B. Mirkiewicz, Zielona Góra 2001,
 Moment wejścia. Antologia młodej poezji Ziemi Lubuskiej, opracował A. K. Waśkiewicz, Poznań 1976,
 Parnas bis. Słownik literatury polskiej urodzonej po 1960 roku, oprac. P. Dunin-Wąsowicz i K. Varga, Warszawa 1995,
 Pieśń zostaje za nami. Antologia poezji, opracował Cz. Sobkowiak, Zielona Góra 1991,
 Rozpoznani spośród. Antologia poezji zielonogórskiej 1976-1996, opracował Cz. Markiewicz, Zielona Góra 1997,
 Rudiak R., Literatura i życie literackie na Środkowym Nadodrzu w latach 1950-1955, „Orbis Linguarum” 2001, nr 18,
 Rudiak R., Nadchodzą roczniki siedemdziesiąte, „Komunikaty” 1995, nr 1 (4),
 Rudiak R., Oddział Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze (1961-2001) [w:] Cztery dekady. 40-lecie oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, Zielona Góra 2002,
 Rudiak R., Organizacje i ugrupowania literackie w Zielonej Górze, „Studia Zielonogórskie” 2001, tom 7,
 Rudiak R., Ruch literacki w Zielonej Górze w latach osiemdziesiątych, „Studia Zielonogórskie” 2003, tom 9,
 Rudiak R., Z życia literatów. Obiektywizm krytyczny, „Komunikaty Nadodrzańskie” 1998, nr 4 (24),
 Rudiak R., Życie kulturalne i literackie na Ziemi Lubuskiej w latach 1945-1995 (praca doktorska), Zielona Góra-Wrocław 2001,
 Rudiak R., Życie literackie w Zielonej Górze w pierwszej połowie lat 70. XX wieku, „Studia Zielonogórskie” 2005, tom 11,
 Siatecki A., Literaci Środkowego Nadodrza. Informator, Zielona Góra 1986,
 Siatecki A., Miejsce zmagarów. Leksykon pisarzy regionu lubuskiego, Zielona Góra 2001,
 Siatecki A., Miejsce zmagarów. Współcześni pisarze lubuscy, Zielona Góra 1998,
 Siatecki A., Pisarze lubuscy, Zielona Góra 1981,
 Waśkiewicz A.K., Cztery dekady literatury lubuskiej – z perspektywy literatury lubuskiej – z perspektywy po trosze osobistej [w:] Cztery dekady. 40-lecie oddziału Związku Literatów Polskich w Zielonej Górze, Zielona Góra 2002,
 Waśkiewicz A.K., 21 lat później, „Zielonogórski Informator Kulturalny” 1998, nr 3,
 Waśkiewicz A.K., Formy obecności „nieobecnego pokolenia”, Łódź 1978,
 Waśkiewicz A.K., Lubuskie środowisko literackie w latach 1955-1973, [w:] „Rocznik Lubuski” 1978, r. 10,
 Waśkiewicz A.K., Modele i formuła. Szkice o młodej poezji lat sześćdziesiątych, Wrocław 1978,
 Waśkiewicz A.K., O lubuskim środowisku literackim, [w:] „Przegląd Lubuski” 1975, nr 5,
 Waśkiewicz A.K., Ósma dekada. Świadomości poetyckiej „nowych roczników”, Wrocław 1982.

KATHARISIS

prologos

napisała wiersz dla ciebie
 głupia
 przecież nigdy się nie dowiesz
 nie przeczytasz
 nie pokażesz znajomym
 nigdy nie zrozumiesz
 nigdy nie zapytasz
 napisała wiersz dla ciebie
 gdzieś po drugiej stronie gwiazd
 czarnym atramentem
 woła o miłość
 twoja córka

parodos

tęskniącym pędzlem
 wymaluję portret twój
 wciąż nie wierząc
 że cię nie ma
 na błękitnym niebie łez
 zabłyśnie kula słońca
 niczym płomień
 w ukochanych oczach
 wypłowiły uśmiech
 kołysany wiatrem
 - biała główka chryzantemy
 twoje dłonie
 odbite od szarego poranka
 resztki skrzydeł
 zasuszone motyle
 i ja (ona)sama
 w przedświatach...

epejsodion pierwsze

czekam
 kiedy znowu się zjawisz
 księżycy śladem na bieli poduszki
 szeptem firanek przy
 zgaszonym świetle
 rannymi kłótniami ptaków
 każdego dnia witam ciebie
 pierwszym oddechem
 po spokojnej nocy
 drżącą falą krzyża
 spod samotnej dłoni
 kolejnym
 nieudanym wierszem
 wymyślam ciebie każdego wieczora
 zamykając oczy
 szkicuję w myślach twój obraz
 okłamując się
 po drugiej stronie czasu

rano znów się obudzę
 witając uśmiechem
 wewnątrz pustego pokoju...

stasimon pierwsze

uśmiechnij mnie
 szelestem wiatru w kościele drzew
 ciszą
 i muśnięciem skrzydeł
 ukołysz mnie
 wśród morza traw
 zamiast czerwonych oczu
 ześlij
 słodkie sny

rozgrzej iskierkami gwiazd
 na atramencie nieba
 rozbij bezpieczny namiot
 muskularnych ramion

obroń mnie
 siebie
 nas
 przed zapomnieniem...

epejsodion drugie

ależ nie ma o czym mówić
 jasne że nic się nie stało
 byłęś
 a teraz ciebie nie ma
 zwyczajnie
 jak najprościej
 bez zbędnych słów
 komplikacji spraw
 naiwnej wiary
 w zmartwychwstanie

został dom
 umeblowany ciszą
 rozbite garnuszki trzeszczące
 pod stopami
 puste wieszaki
 i mgła w ukochanych oczach

nic wielkiego
 odejść
 skończyć się
 minąć
 znów do oczu pada deszcz
 sen zachodzi
 ciemno
 cicho

nie ma o czym mówić...

stasimon drugie

dziewczyna ma siedemnaście lat
 rudą kotkę

i prawie jamnika
 w doniczkach sadzonki
 drzewka szczęścia

dziewczyna
 kocha matkę bolesną
 wieczorami zdejmuje ją z krzyża
 ciepłym oddechem kołysz do snu

na dzień ojca
 nie robi laurki
 nie składa życzeń
 nie kupuje kwiatów
 dziewczyna pisze wiersze
 paciorkami łez

łamana kołem nie krzyczy
 nie powiewa białą flagą
 nie opuszcza wzroku

dziewczyna ma siedemnaście lat
 twoja córka dorosła

exodos

wieczór zachodzi zbyt szybko
 poranek niszczy resztki marzeń
 rozrzuca słoneczne konfetti
 zmusza do istnienia
 wciąż
 na nowo

matka jak zwykle
 stoi pod krzyżem
 z błękitnym smutkiem w oczach
 twarzą spuchniętą od łez
 w cierniowej koronie trosk

sama
 w centrum wydarzeń

a ona ja siedzę na środku pokoju
 ocierając twarz chustą weroniki
 przesuwam między palcami
 paciorki niemej prośby
 o pomoc

razem z tobą
 umarła wiara
 w zmartwychwstanie
 odleciały anioły
 które karmiłam z otwartej dłoni
 kolor spoważniał
 sen się skończył

radość ...trafił szlag

jutro
 życie namaluje taki obrazek:
 plac zabaw
 dziewczynki grające w gumę
 i ja
 ...z dziesiątego piętra



Urodziła się 30 lipca 1938 r. w Wągrowcu. Od 1945 roku z rodziną ojca-pioniera, pomagała tworzyć i porządkować w Gorzowie nowe życie po wojnie. Jako siedmioletnia dziewczynka musiała przynieść na własnych plecach stolik do szkoły, bo nie było w niej ławek...

Od najmłodszych lat angażuje się w amatorski ruch artystyczny, przy boku swej wychowawczynie, która organizuje w szkole wspólne śpiewanie, tańce ludowe, głośne czytanie, recytacje, akademie i przedstawienia teatralne. Pod wpływem poezji Adama Mickiewicza, mając lat 13 zaczyna pisać wiersze, inspirowane pierwszym nieśmiałym uczuciem.

Jako najstarsza córka w wielodzietnej rodzinie nie miała szans po maturze na dalszą naukę – od 16. roku życia musiała pracować, by pomagać rodzinie. W wolnych chwilach dużo czytała i brała czynny udział w pracach zespołu teatralnego w dużym ośrodku kultury „Stilon”. Wystawiony wtedy dramat T. Rittnera „W małym dworku”, przez wiele miesięcy budził zainteresowanie, nawet warszawskich krytyków, którzy przyjeżdżali do Gorzowa.

Założenie rodziny i wkrótce samotne wychowywanie dzieci, przerywa jej udział w czynnej działalności kulturalnej. Do pisania wróciła w latach 70. W tym czasie była członkiem Korespondencyjnego Klubu Młodych Pisarzy. Zaczynała wtedy publikować w prasie regionalnej m.in. w „Ziemi Gorzowskiej” i w gazetach zakładowych takich jak „Stilon” czy „Gorzowska Przemysłówka”. Jednak za prawdziwy debiut prasowy uznaje druk swoich wierszy w czasopiśmie „Nadodrze” w roku 1977. Z jej współzałożycielskim udziałem powstaje w Gorzowie oddział RSTK. Wyjeżdża na krajowe sympozja i konferencje tego stowarzyszenia organizowane w Warszawie, Łodzi, Gdańsku i Tychach. Bierze udział w ogólnopolskich i regionalnych konkursach literackich, na których otrzymuje kilka nagród i wyróżnień, m.in. PAR w Szczecinie 1984-87; Poraj – Częstochowa – Zakopane (1988-90), Bydgoszcz (1990) Radom (1990). Systematycznie uczestniczy w warsztatach literackich w Lubniewicach (1983-91).

W 1980 r. w serii Biblioteki Literackiej GTK, jako szósta pozycja, wychodzi drukiem jej pierwszy tomik wierszy pt. „Wyciszenia”. Na następne musiała poczekać aż 12 lat...

W 1984 r. otrzymała II nagrodę Polskiego Radia w Zielonej Górze za słuchowisko pt. „Za późno”, które jako monodram brało udział w Ogólnopolskim Przeglądzie Teatru i Satyry RSTK w Iławie (1988). Ponownie realizuje się jako aktorka w Teatrze Poezji z Kostrzyna, także na itawskim przeglądzie rok później, a w 1990 r. w Przemysłu, z własnymi tekstami, we własnej aranżacji scenicznej, gdzie otrzymuje nagrodę dyrektora słynnego Teatru „Fredreum”. W latach 1985-86 podejmuje się funkcji przewodniczenia Klubowi Literackiemu przy Gorzowskim Towarzystwie Kultury. W 1986 została stypendystką Ministra Kultury i Sztuki.

Po 12 latach od debiutu – w 1992 r. wychodzą drukiem jej dwie kolejne książki: „Maluję popiołem ognia” i „Postarzał się czas”. Następne w 1999 r. „Ogrody codzienności” i w 2006 „A może jestem inną trawą” (Wydawnictwo Książkowe IBIS – Warszawa) w serii Biblioteki Literackiej Pegaza Lubuskiego.

W 1994 r. jako pierwsza z kręgu pisarzy Gorzowskiego Oddziału RSTK zostaje przyjęta do Związku Literatów Polskich. Przez pięć następnych lat należała do Poznańskiego Oddziału tej organizacji. W 1998 r. bierze udział w Międzynarodowej Jesieni Poezji. W latach 1999-2000 pełniła funkcję wiceprezesa Zielonogórskiego Oddziału ZLP. Od chwili powstania Oddziału ZLP w Gorzowie jest członkiem Komisji Rewizyjnej.

Pisze wiersze, opowiadania, słuchowiska. Drukowała w pismach: „Twórczość Robotników”, „Bez Przesłony”, „Nowa Wieś”, „Żołnierz Polski”, „Okolice”, „Arsenał Gorzowski”, „Lamus”, „Poezja dzisiaj” i bardzo często w czasopiśmie warsztatowym „Pegaz Lubuski”.

Ireneusz K. Szmidt

Barbara Trawińska o sobie:

Jestem zwyczajnym człowiekiem, nic co ludzkie nie jest mi obce. Żyję dla innych, z pasją obserwuję świat, ludzi, przyrodę. Czasami próbuję się tym podzielić.

O książkach Barbary Trawińskiej pisali:

O „Wyciszeniach”

W ramach przyjętej konwencji Trawińska osiąga efekty godne uwagi, choć z formalnego punktu widzenia nie znajdujemy tu nic, czego

byśmy wcześniej nie znali. Podobnych (i podobnie napisanych wierszy) czytaliśmy i zapewne czytając będziemy setki. Jeśli byśmy wiersze te potraktowali jako dzieło „poetyckiego hobbyisty”, wypadałoby pochwalić dość dużą formalną biegłość, tzw. opanowanie warsztatu, wewnętrzną spójność książki, niewątpliwą wrażliwość. Są to wiersze i wdzięczne, i dobrze napisane: odnajdujemy w nich to, czego zwykle szukamy w poezji – świadectwo ludzkiej osobowości. Rzecz w tym, że ludzkiej, „prywatnej”, nie zaś osobowości poetyckiej, a więc wykraczającej poza zastane konwencje, by wyartykułować niemożliwe do wypowiedzenia w inny sposób indywidualne przeżycie świata.

Andrzej K. Waśkiewicz, „Trzy tomiki”, „Ziemia Gorzowska” 1981, nr 13

Sentymentalizm i właśnie wyciszony witalizm oraz erotyzm to główne cechy zgrabnych utworów Barbary Trawińskiej. Jeszcze do tego szczerość i prostota, a będzie pełnia poetyckiego obrazu. Wiersze Trawińskiej nie są skomplikowane, poetka potrafi posługiwać się prostą metaforą. Podobnie jak Maria Pawlikowska-Jasnorzewska stawia nie tyle na intelektualizm, co na sensualizm, rozumiany tu jako zmysłowe poznawanie otoczenia i zjawisk w nim zachodzących. (...) Barbara Trawińska reprezentuje poezję dojrzałą, poezję dobrą i pozbawioną kokieterii.

Kazimierz Wachnowicz, „O debiutach i nie tylko”, „Gorzowska Przemysłówka” 1980, lipiec

O „Postarzał się czas”

Chwilami jest to podróż intelektualno-wyobraźniowa, to znowu podróż mistyczno-realistyczna. Zbliżają się i oddalają przestrzenie Ikara, postacie bliskie i nie akceptowane. Smutne reminiscencje oraz symbolika wierszy anonsuje gorzkie „myślowidzenia”, zagubienie człowieka, samotność i niemożność porozumienia się. Pozostaje milczenie, które daje prawo do własnych nieszczęść...

Barbara Trawińska traktuje poezję serio, próbuje wyrazić w niej autentyczne doświadczenia, refleksje, określić siebie i swoje miejsce w historii. Rzeczywistość przeżywa na własny rachunek i na własną odpowiedzialność. Próbuje dialogu z mądrym życiowo i życzliwym człowiekiem. Temu człowiekowi zawdzięcza kształt i znaczenie układów słownych.

Nikos Chadzinikolau – ze wstępu do tomu „Postarzał się czas”

Z Leksykonu literatury gorzowskiej (K.Kamińska, WAG „Arsenał” 2000)

O „A może jestem inną trawą”

Już sam tytuł najnowszego tomiku Barbary Trawińskiej „A może jestem inną trawą” – jest dostatecznie intrygujący. Niby to tylko koncept, gra słów, aluzja do nazwiska autorki, ale jakby wewnętrznie, nie tylko przecież semantycznie kojarzy się z rewelacyjnymi „napięciami międzysłownymi” Ireny Dowgielewicz; choćby z „sianiem pietruszki”, czy „stadionem dla biedronki”. Owa „inna trawa” imaginuje pascalowskie konotacje „myślącej trzciny”, wszak trzcina jest trawą (choćby słynna kolumbijska caña flecha). A już w pierwszym z brzegu, internetowym słowniku etycznym czytamy: „Myśląca trzcina – metaforyczne określenie kondycji człowieka, jego jednoczesnej słabości (trzcina) i wielkości (myślenie)”. „Człowiek jest trzcina, najwęższą w przyrodzie, ale trzcina myśląca” – to najsłynniejsza myśl Blaise’a Pascala wyrażająca tragiczne rozdarcie człowieka.

Zdaje się, że Barbara Trawińska doskonale sobie zdaje z tego sprawę. Przypuszczający tryb tytułowego pytania tomiku dodatkowo potwierdza kierunek myślenia autorki. I tak jest skonstruowana ta książka; samo zestawienie większości tytułów wierszy tworzy osobny tekst, opisujący ową „kondycję człowieczą”: – przemijanie – o szczęściu – imperatyw – prawda – piękno – stan rzeczy – sumienie – mity – fatum – trwanie.

Czesław Markiewicz - „Dwie trawy” - Pegaz Lubuski Nr 1/2007

Wiersze wybrane z 10 tomiku Biblioteki Pegaza Lubuskiego

A MOŻE JESTEM INNĄ TRAWĄ

inną trawą

(Maryli B.)

jak przejść przez łąkę
nie sprawiając bólu
– trawom

jakim językiem mówić
do kwiatów
żeby nie strącić
– płatków

jak zapamiętać zapach
skoro deszcz i wiatr
– mogą go odebrać

a może jestem
– inną trawą

w zagubieniu

(Irenie S.)

nie jest to świat
w którym
mogłabym się odnaleźć

w zaciszu regałów
jakieś cienie
– odchodzą ideały
bez nich nie byłoby
– Niepodległej
teraz
Wolność się zagubiła
trend na iluminacje
a w wieżach pozamykano
– eksponaty sumienia

człowiek od człowieka
coraz dalej
tylko
– Bóg z góry tym
co próbują, jeszcze
daje znaki

Credo

– że Istniejesz
mam pewność
– codziennie wołam

i stajesz przy mnie
– który Jesteś

komu
miałabym wierzyć i
mieć Nadzieję że
– nie cała przeminę

póki co
– karmisz mnie Słowem
kiedy cierpię
jesteś Miłosierdziem i
pozwalasz mi dźwigać
– Swój Krzyż

sumienie

ja
imię i nazwisko
oraz to i tamto
podobno wysoki iloraz
a jednak

bywały dni
że czułam
– niczym ścięte drzewo
wtedy
milkły nawet myśli

dopiero
– w tej ciszy
zamkniętej od
wewnątrz
ktoś pukał i wołał

– to sumienie

tempus fugit

przemijamy zmierzchem
– tylko pamięć
nie może zapomnieć
ożywia jakieś popioły
lub fotografie

nic nie powraca
przybywa nam lat a
doświadczenia starzeją się
zbyt wolno

człowiek chciałby

cofnąć czas i zatrzymać
tamten obraz
wśród drogich osób
i żarem wypowiedzianych słów

ale wszystko cichnie i
rozpływa się jak
koła na jeziorze od
nieostrożnie rzuconego kamyka

Landsberg' II –1945

nie ma już tamtych dni
i brukowanych ulic którymi
z ojcem pod rękę chodziła
mała dziewczynka z warkoczem

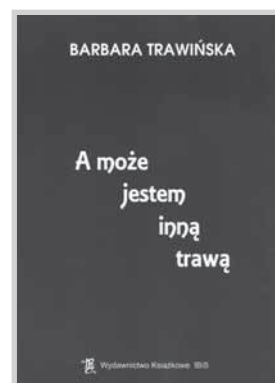
pionierzy kłaniali się
– znali się z Magistratu
lub z Wągrowca

na Chrobrego
paliły się gazowe latarnie
tramwajów jeszcze nie było
– najwyżej rower lub dorożka

w centrum miasta pełno gruzów
– chodziło się po górkach i
życie toczyło się byle jak

rzeka Warta dzieliła miasto
a łączył ją murowany most

teraz
– wszystko jest inaczej



Barbara Trawińska „A może jestem inną trawą”, Wydawnictwo Książkowe Ibis, Warszawa 2006

Krzysztof Gašiorowski

Jednobreżna rzeka

Europa, Europa... Z grubsza biorąc ta przestrzeń (czasoprzestrzeń) kulturowa, którą zwykliśmy nazywać Europą pokrywa się swym zasięgiem z chrześcijaństwem zachodnim (jeśli anektujemy doń Cyryla i Metodego). Wywodzące się z Bizancjum chrześcijaństwo wschodnie to już nieco odmienny krąg kulturowo-cywilizacyjny; Moskwa – Nowym Rzymem. Oczywiście, nie jest to wszystko takie proste. Na Bałkanach granice tych kręgów kulturowych są zatarte, a raczej skłębione i raz po raz zmieniają się w krwawych konwulsjach;. Jednak, ogólnie rzecz biorąc, mieszkańcy tych ziem, podzieleni etnicznie i wyznaniowo, zdają się cywilizacyjnie ciężić ku Europie Zachodniej. Tyle że nie wiadomo, gdzie tu umieścić Albanię. Także Ukraina znajduje się na rozdrożu. Turcja to całkiem osobna sprawa....

W potocznym ujęciu to, co nazywamy Europą pokrywa się więc z Unią Europejską, jeśli uwzględnić kraje do niej pretendujące. I nic więcej. Nie udało się „Europy” zaszczerpić na kontynencie afrykańskim. Wyprawy Krzyżowe zostały odparte, europejskość Algerii okazała się dość powierzchowna. Wyprawy Napoleona i Hitlera kończyły się sromotnymi klęskami... itd. Itd.

Po odejściu Maurów z Hiszpanii i Turków z Bałkanów, po zdławieniu Albigensów i Katarów, ta ... – mimo całej swej różnorodności, mimo konfliktów religijnych, wojen, upadków państw i państw – ta Europa, od Karolingów począwszy, była i jest wewnętrznie dość jednorodna. Co prawda niekiedy kosztem niepodległości państw leżących na jej obrzeżu, a starających się stworzyć odrębne centrum cywilizacyjne: myślę tu przede wszystkim o Polsce.

Pierwszy poważny paradygmatyczny podział Europy w czasach nowożytnych dokonał się po Drugiej Wojnie Światowej. W wymiarze geo-politycznym naszą Europę rozdzieliła żelazna kurtyna, a unaoczniał Mur Berliński. W gruncie rzeczy jednak faktyczną, żywą granicę pomiędzy Europą a, że tak się wyrażę, Nie-Europą stanowiła rzeka Odra! Mimo, że NRD należała do tzw. Obozu socjalistycznego, objętego Paktem Warszawskim. Łaba, która tworzyła granicę pomiędzy Wschodem i Zachodem mniej dzieliła ludzi. Odra z obydwu stron przez niespełna pół wieku była rzeką jednobreżną.

Z polskiego brzegu Niemcy zostali wysiedleni lub wyjechali; po dziś dzień jest to gorący problem, czego dowodem był niedawny spór o Centrum Wypędzonych. Na ziemi te, zwane Ziemiami Odzyskanymi, przyjechali przybysze z dawnych polskich ziem Wschodnich. Ale nawet dla rodowitych Ślązaków, mających silne poczucie tożsamości i mniejszości niemieckiej



Odra była głęboką i pustą rzeką. Ze strony władz polskich ze względów, nazwijmy je, narodowościowych. Od strony niemieckiej raczej ideologicznych.

Trudno się żyje na krawędzi świata, nad rzeką po za którą, jak rzecze przysłowie, już tylko lwy. Literatura, poezja prędzej lub później musiała podjąć ten problem i spróbować uczłowieczyć Odrę, tak aby łączyła ludzi, zamiast dzielić.

Poeta Zdzisław Morawski (ur. w 1926 w Aleksandrowie Kujawskim; może nie od rzeczy będzie tu dodać, że podczas wojny przymusowo pracował w Niemczech, m.in. w Berlinie) od 1956 roku na stałe mieszkał w Gorzowie. Nie ma co zatajać, najpierw był działaczem politycznym. Ale podpadł władzy i pracował w kamieniołomach, gdzie w wypadku stracił nogę. Chyba wtedy zajął się literaturą. I... zakorzenianiem się na Ziemi Lubuskiej. Działał w tamtejszych Towarzystwach Kulturalnych, współtworzył pisma („Nadodrze”. „Ziemia gorzowska”, „Prom/Die Fähre”). Tyle że coraz bardziej dystansował się do PRLu, przełomem był tu stan wojenny. Coraz

silniej odczuwał brak Europy. W sferze mentalnej najtrudniejszy do przekroczenia był eksponowany ale przecież rzeczywisty konflikt polsko-niemiecki. Rzeka Odra ten dylemat odślaniała i ucieleśniała w codzienności, w prywatnym wymiarze.

Postanowił zatem Morawski tę jednobreżną rzekę przekroczyć w literaturze. „W 1991 roku wraz z grupą pisarzy niemieckich (J. Nauschutz, G. Grosche, M. Klempt) i polskich (B. Słomka, W. Niedźwiecki) zabiega o powołanie międzynarodowego stowarzyszenia ludzi pióra. Powstało : Deutsch – Polnishes Literaturbiuro, którego organem prasowym było dwujęzyczne czasopismo „ Die Fahre/Prom . Pierwszy numer ukazał się już po śmierci poety (28 X 1992).” *)

Literatura wszakże spełnia się dopiero w dziele literackim. I oto Morawski pisze wiersz „Odrą pisane” adresowany do swego rówieśnika, niemieckiego poety Helmuta Preisslera. Oto ten wiersz:

Odrą pisane

Zapraszam cię, Helmut, do pisania Odrą
Ciebie dlatego, że my w jednym wieku
Doświadczeni wojną – połączeni Odrą
My obaj wiemy – płonąła Warszawa
Ogień zamek strawił – tam fotel króla
Nalot Drezno zburzył
Anny zapis spopielił
Czas Komnenów spłonął księgą Aleksjady
Wadami rzeczy czas nas wciąż obdarzał

Odrą z prądem ruszymy zapewne kajakiem
 – pierwotni wędrowcy po pierwotne runo
 słowa najlepszego dla dziś i dla jutra –
 Jeżeli zechcesz
 Słoneczne błyski raz po razie zbierać
 Piórami wioseł, topić je wśród rzeki
 By się z drogą Odry podłużnie układać
 Jak światło z łąką – wysiłek z przepływem
 Drzewa z zielenią, bo mają ją w sobie
 Głęboko pod korą, gdzie liść czeka wiosny
 By pękiem się wykluc za naszym staraniem
 I rozwinąć kwiatem
 I na tym liściu – naszym papirusie
 Spiszemy testament tego poematu
 A jeśli zechcesz popłynąć odwrotnie
 Burlaczył będziesz piórem mokre słowa
 Głęboko do źródła najstarszych pokładów
 Tam gdzie prowadził trakt rzecznych karawan
 Dunaj Istry miał imię
 Odra Viadrą była
 Popłyniemy z nurtem więc staniemy w miejscu
 Razem z masą wody zaprzeczmy racji
 Że nikt nie przekroczy dwa razy swej rzeki
 Jak nam przekazał testator Heraklit
 My mu zaprzeczmy jako zaprzeczamy

Niemiecki poeta był zaskoczony tym poematem. Nie byli sobie znowu tak bliscy. Poczul się wzruszony i zobowiązany tym poetyckim listem z Polski. Odpowiedział poematem, którego obszernie fragmenty tu przytaczam:

Zdzisławowi Morawskiemu – w odpowiedzi (1)

Zdzisławie, dziękuję dobry druhu!
 Jak po długo ciężącej ciemności
 promień słońca dach lasu przebija
 i ogrzewa, i rozjaśnia powietrze,
 i sprawia, że na paprociach i mchach
 lży skrzącymi perłami się stają,
 że barwy mocy nabierają,
 skostniałe poruszać się zaczyna,
 a nawet, że i cienie tańczą, –
 Tak duch słów Twoich przyjaznych,
 na poetycką wędrowkę wezwanie,
 poruszył i mnie...

...Bo to jest strefa działania poety

Zapraszam cię, Helmut, do pisania Odry

Jednaka woda jest na obu brzegach
 Jednako żyzny dla brzegów atrament
 Jednym rysunkiem piszą się litery
 Jednaki błękit i taki sam obłok
 Co w nim płyniemy i z nim przenosimy
 Zebrane na brzegach zakłęcia kochanków
 – Ich liebe dich, Martin
 – Ja kocham cię, Marta

Bogate są brzegi w lasy i uczucia
 Bogate w żyto, w trawę, w kwiaty
 Po obu stronach są nauczyciele i matematycy

Rosną też całe grzędy urzędników
 Lecz nie sędziowie ani urzędnicy
 Powiedzą prawdę o rzece, że łączy
 Dwa brzegi
 Ta prawda w tęczy
 Nad krajem pogody, gdzie żyją poeci...

..Bogate są brzegi, ale rzeka pusta
 i ukamienowanej później nadziei.
 I nagle piszę od nowa!
 Twoje wołanie echa wymaga.
 Tęsknota, by odpowiedzieć,
 silniejszą jest od przytłaczającego ciężaru
 i żąda,
 by struga zasypisko przeniknęła
 i wahając się płynąć zaczęła.
 Jakby po omacku,
 niepewnie,
 słowa odnajdują się w zdaniach,
 formują się w wers na powrót...

... Zapraszam cię, Helmut, na srebrzystą podróż
 Następnym poematem zaczniemy o świecie

(tłum. Jolanta Sachers)

I tak to poeci (to, co istnieje ustanawiają poeci – twierdził wielki niemiecki filozof M. Heidegger) polski i niemiecki zaczęli zaludniać pustą i jednobrzezną rzekę Odrę, łączyć je brzegi. Ten poetycki dialog został opublikowany w „Die Fahre/Prom nr. 2/3 w 1993 roku. W 2005 roku staraniem Gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich ukazał się w gorzowskim Wydawnictwie Artystyczno-Graficznym „ARSENAL” tomik „Odra pisane”, skąd pochodzą te wiersze.

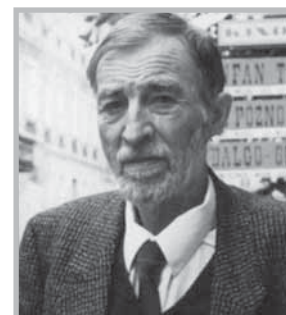
Krzysztof Gąsiorowski

PS. Podobnych, i to na większą skalę, prób sprostania zawiłym i tragicznym związkom polsko-niemieckim i niemieckim podjęli się także pisarze gdańscy. Tamtejszych prozaików zalicza się nawet do „polskiej szkoły Grassa”, też Gdańszczanina. Jeśli chodzi o poezję należy tu przywołać intrygujący tomik Antoniego Pawlaka „Strach w moich oczach jest głęboki jak studnia” (Tower Press, Gdańsk 2004).

*) fragment postłowia

Krzysztof Gąsiorowski

(ur. 1935). Poeta, jeden z założycieli Orientacji Poetyckiej Hybrydy. Wydał m.in. tomiki wierszy: Podjęcie bieli, Białe dorzecze, Tonące morze, Wyspa oczywistości, Wyprawa ratunkowa, Milczenie Minotaura, Powrót Atlantów, Gemmy w kości policzkowej; książki krytyczne: Trzeci człowiek, Fikcja realna, Warszawa jako kosmos wewnętrzny. Współredagował pisma: Widzenia, Orientację, Współczesność, Literaturę, Poezję, Wobec. W ZLP pełni funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego.



Dni Kultury Polskiej w Grodnie

Ciekawym wydarzeniem literacko-kulturalnym były występy gorzowskich twórców na Białorusi, które miały miejsce w dniach 13-15 kwietnia.

Okazją do prezentacji programów poetycko-muzycznych stało się zaproszenie skierowane do Robotniczego Stowarzyszenia Twórców Kultury w Gorzowie Wielkopolskim wystosowane przez Konsula Generalnego Rzeczypospolitej w Grodnie Andrzeja Krętowskiego wspólnie ze Związkiem Polaków na Białorusi i jego przewodniczącą Andżeliką Borys. RSTK został zaproszony na Dni Kultury Polskiej.

Grodno to wyjątkowe miejsce na ziemi. Mieszka tam około 300 tysięcy zadeklarowanych Polaków w Obwodzie Grodzieńskim. Jest to największe skupisko Polaków na Wschodzie, oceniane nawet na półtora miliona osób. Jednak nie każdy się do polskiego pochodzenia przyznaje, gdyż wiąże się to z różnymi negatywnymi konsekwencjami.

Na miejscu zaprezentowane zostały dwa programy poetycko-muzyczne „Ręka wyciągnięta do wyspy kaczeńców” oraz „Życie to wędrówka pielgrzyma”.

Ręka wyciągnięta do wyspy kaczeńców

W programie udział wzięli: poeci Maria Borcz, Krystyna Caban, Beata Patrycja Klary, Roman Habdas, Ferdynand Głodzik oraz muzycy Marzena Śron i najmłodszy uczestnik Kacper Zawół. Nad wszystkim czuwał reżyser Czesław Ganda. Przedstawienie oglądały tłumy. Blisko dwieście osób przyszło na to spotkanie (od dwóch lat nie było tylu chętnych) wraz z gościem honorowym Konsulem Generalnym Andrzejem Krętowskim.

Nasze wiersze i piosenki wywołały żywe reakcje słuchaczy. Gromkie brawa otrzymał Kacper. Nadzwyczaj wszystkim podobały się wiersze Marii Borcz, za wspaniałą dykcję chwalony był Roman Habdas, a za cudowny śpiew „Dalidą” została nazwana Marzena Śron.

Jednak jedna pieśń przykuła największą uwagę „11 listopada” - pieśń o niepodległości

*Uwięziony ptak nie śpiewa, a czy wiesz dlaczego
bo nie spotkasz nigdy ptaka w klatce szczęśliwego.*

Niepodległość znaczy wolność ...słowa najpiękniejsze

Zarówno słuchacze jak i wykonawcy – wszyscy byliśmy wzruszeni. W naszych oczach widać było czyste łzy, widać dumę z tego, że jesteśmy Polakami.

Andrzej Krętowski, Konsul Generalny Rzeczypospolitej, zwracając się do Polaków z Grodna obecnych na sali powiedział: „trwajcie tutaj spokojnie i odważnie, bo jesteście u siebie, a następnie zacytował fragment refrenu piosenki finałowej: *Niepodległość znaczy wolność ...słowa najpiękniejsze* opatrując je komentarzem: Dziw bierze, że u progu XXI wieku istnieje jeszcze kraj w Europie, który musi się o tym przekonać”.

Życie to wędrówka pielgrzyma

Krystyna Caban „Życie to wędrówka”

*Życie to wędrówka
pielgrzyma
ścieżką pod górę
długa na odległość ramion
matki piersią karmiącej*

*i matki ziemi
w uścisku niebios*

Przygotowany drugi program poetycki mieliśmy okazję zaprezentować w sobotni wieczór, po powrocie z Niemna. Między naszymi kolejnymi wierszami swoje śpiewy prezentował chór „Głos z Niemna”.

Ciekawym wystąpieniem było przyłączenie się do naszego programu tamtejszego poety Leona Podłaha, który debiutował tomem poezji „U progu ojczyzny” wydanym w Białymstoku w 2005 roku. Człowiek ten jest członkiem Związku Polaków na Białorusi, a swoje wiersze publikuje od 1991 roku m. in. w kwartalniku „Rota” (Lublin), w „Magazynie Polskim” (Grodno), „Głosie z Niemna” (Grodno), w „Ziemi Lidzkiej” (Lida), w „Głosie z Niemna” (Kaliningrad), w antologii „Gniazda słów. Słowa gniazd” (Białystok 2006).

*Siedzę pod skrawkiem Ojczyźnej Polski
wybudowanej brylantami łez
Polaków*

*Podjeżdża wielki szczur,
rozparty za szybami samochodu,
trzyma łapy na kierownicy.*

*Wgryza się do wnętrza,
pod osłoną broni maszynowej
Utopił w krwi wszystkie wartości:
Boga*

*Honor
Ojczynę.*

Słuchaczom nader przypadł do gustu wiersz Romana Habdasa „Rodzina”

*Józef z Maryją
mieszkają blisko
na ostatnim piętrze
osiedlowego drapacza
Józef nie jest cieślą
a Maryja ma pokorną twarz
i zna się na elektryce
mają syna
który zadaje mądre pytania
oraz pisze wiersze
to ludzka rodzina
Nad nimi
mieszka już tylko Bóg*

Pożegnania są najtrudniejsze...nikt ich nie lubi. Uściski, ucałowania, wymiana adresów. Czas jechać...za nami tylko **Płyń, płyn, płyn nasz Niemnie szeroko, daleko...płyn, płyn, płyn piękna rzeka z piosenką daleko...**

Beata Patrycja Klary

Beata P. Klary

proszę nie pukać

naczynie wydajnych krwinek
z mieszaniną pierwiastków
pokryte siatką, pęknięć
szpetnych śladów przeszłości
wstawiono mnie
do zmywarki wspomnień
gdzie strumień zapomnienia
prowadzi do rozpadu
a przecież wystarczyłyby
twój płonący dotyk
tak się wypala
szlachetną porcelaną

w fabryce aniołów

schodzimy z taśmy nadzy
nawilżeni parą naszych oddechów
porośnięci szelestem
świeżych włosów
skrzydła dostajemy zawsze
jednorazowego użytku
możliwy lot tylko ku spełnieniu
delikatny muślin i
otek spala się żarem

finał

obłoki piór osypują się na nasze
uśmiechnięte twarze

* * *

W tamtej chwili pomyślę
aby się udało
zamknąć ciebie w powiekach
byś zawsze był przy mnie
wtedy
mniej się obawiać będę
zateśknienia
i tej pustki
i zaskoczenia

wspólna myśl

Ktoś powiedział
że to przecież jest
obsesja śmierci

i nie przeczę, że
racji miał w tym wiele

lecz gdy dłużej
pobyliśmy razem
jak z człowiekiem
najprawdziwszy
człowiek

w jego oczach
odnalazłam
trwogę

Kazimierz Furman

* * *

Toczą się we mnie
boje o człowieka
To szczerze chwile
Wtedy sam kłócę się z sobą
O własne miejsce

Nawet teraz jest we mnie
inny człowiek
Zniewala mnie
Szepce o wolności
Śpiewa o niej pieśni

Ściany wyteżają słuch
Okna wzrok

Szumia liście

* * *

Nie mam już sił
I nie ma czasu
By się sponiewierać

W imię czego

Powiem tak

Gdyby mnie tutaj nie było
Nie byłoby problemu

Jeżeli jest
Jestem

* * *

Któregoś dnia
Pod oknem
Pyta się listonosz

To pan

Tak
Ja
A co

A czy moglibyśmy porozmawiać

Nie znam się na filozofii mówię
Chyba że na Niczym

Na kim

Nie mam zamiaru
zniezczać tego Polaka
Ani mu reputacji psuć

Jak sobie rzecze
to niech sobie rzecze

A tamten to nie chciał wchodzić

Agnieszka Kłak

Niepewnie o miłości

Jak co dzień dbam o jutro
Uprawiam ogród pełen czułości.
Pielęgnuję uczucia.
Podcinam chore gałęzie,
na których rosną zakazane owoce.
Rośnie zasiany niepokój.
Co noc podlewam obficie łzami,
a rano ogrzewam uśmiechem.
Zakwitła mi nadzieja.
Zrywam naręcza dla Ciebie,
lecz ona kłuje, raniąc.
Wyhodowana
w gumowych rękawiczkach
niewdzięczna miłość.

Wierny

Jak co tydzień świątynia wita
go rzędami rozmytych oczu.
Stukają po ścianach
echem niesione obcasy.
Surowo zerka tabernakulum.
Woła szeptem konfesjonał.
Znak krzyża.
Milczy.

Zajmuje pierwszą ławkę.
Do twarzy mu z bigoterią
Pokój nam wszystkim
roztacza zapach naftaliny.
Odprawił (z kwitkiem) pokutę.
Czytanie z księgi Izajasza.
Ziewa.

Srebrzysty dźwięk monet
kołysze w półśnie,
aż wreszcie traci barwy
witrażowa tęcza.
Gubi wątek list do Koryntian.
Zasnął.

Odpuszczają grzechy.
Bledną przykazania.
Moja wina,
moja wina,
moja
bardzo
wielka
wina.

Nagle zbudził duszę
liturgiczny dzwonek-
strażnik wiary.
Wstaje
wierny
obrzędom.

Konkursy literackie

Przypominamy:

15 lipca upływa termin nadsyłania prac na gorzowski konkurs im. Zdzisława Morawskiego w trzech kategoriach: poezji, prozy i słuchowiska radiowego. Regulamin w „Pegazie Lubuskim” (listopad 2006), w 15 nr Pisma Literacko-Artystycznego „Lamus”, Klubie Myśli twórczej „Lamus” oraz WiMBP w Gorzowie.

XVIII Konkurs: Pogranicze kultur i regionów

Ogólnopolski konkurs literacki „Małe ojczyzny” ma na celu pozyskanie wartościowych form prozatorskich opisujących polską rzeczywistość zainspirowanych twórczością Eugeniusza Paukszty.

Organizatorzy – biblioteka gminna w Kargowej (woj. lubuskie), wojewódzka w Zielonej Górze, zielonogórski oddział Związku Literatów Polskich oraz Stowarzyszenie Gmin RP „Region Kozła” – zachęcają do napisania krótkich (do 10 stron znormalizowanego maszynopisu) opowiadań, nowel, esejów mówiących o małych ojczyznach na pograniczu kultur i regionów ze szczególnym uwzględnieniem walorów przyrodniczych, krajobrazowych. Myśląc o inspiracjach Pauksztowskich, warto zatem pamiętać o wędkarstwie i myślistwie.

Prace należy nadsyłać do 31 lipca br. na adres: Gminna Biblioteka Publiczna, 64-220 Kargowa, ul. Browarna 7. Wyniki zostaną ogłoszone w początkach października podczas seminarium i spotkania literackiego „Małe ojczyzny” w Kargowej oraz nad jeziorem Linie.

Dla autorów najlepszych prac przewidziano cenne nagrody i publikacje. Bliższe informacje tel. (0-68) 352 63 68.

Konkurs im. Aleksandra Świętochowskiego „O laur posła prawdy”

Konkurs odbywa się w dwóch kategoriach wiekowych:

- dla młodzieży w wieku 16-21 lat (I)
- dla autorów powyżej 21 lat (II).

Warunkiem uczestnictwa jest nadesłanie do 30 maja, z dopiskiem „O Laur Posła Prawdy” i „kategorii I lub II”, na adres organizatora jednego utworu (opowiadanie, nowela, esej) o objętości do 5 stron standardowego maszynopisu, inspirowanego twórczością Aleksandra Świętochowskiego, nigdzie wcześniej niepublikowanego i nienagradzanego, w trzech egzemplarzach, wyłącznie w maszynopisie. Każdy utwór należy opatrzyć godłem, dołączyć zamkniętą kopertę, opatrzoną takim samym pseudonimem, zawierającą dane o autorze: imię i nazwisko, wiek, dokładny adres i telefon kontaktowy.

Laureaci konkursu otrzymają nagrody i wyróżnienia pieniężne.

Ogłoszenie wyników, uhonorowanie laureatów oraz prezentacja nagrodzonych utworów nastąpi 15 czerwca w Muzeum Pozytywizmu podczas XVIII Wiosny Literatury w Gołotczyźnie. Organizatorzy nie wysyłają nagród. Nagrody nieodebrane osobiście przez osoby nagrodzone przechodzą na rzecz organizatorów. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo do druku wybranych utworów w pokonkursowym tomie literackim oraz do cytowania ich w mediach, bez dodatkowej zgody na nieodpłatną publikację.

Utwory należy nadesłać na adres: Muzeum Szlachty Mazowieckiej w Ciechanowie, Oddział w Gołotczyźnie, ul. Świętochowskiego 3, 06-430 Gołotczyzna, tel. / fax 0 23 672 53 46 (MSM–Ciechanów), 0 23 671 30 78 (Oddz. w Gołotczyźnie), e-mail: muzeum3@wp.pl.

XIII Ogólnopolski Konkurs Poetycki Jednego Wiersza

1. W konkursie mogą wziąć udział osoby, które ukończyły 16 rok życia.

2. Uczestnik przesyła jeden wiersz w pięciu egzemplarzach maszynopisu lub wydruku komputerowego opatrzonego godłem oraz załącza kopertę z tym samym godłem, tzn. pseudonimem autorskim (nie znakiem graficznym), zawierającą imię, nazwisko i dokładny adres autora, ewentualnie numer telefonu i adres e-mail.

Tematyka prac jest dowolna. Mile widziane będzie umieszczenie kilku słów o sobie. W kopercie powinna znaleźć się również formułka: „Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Miejską Bibliotekę Publiczną w Chojnicach dla celów statutowych” oraz czytelny podpis autora.

Jeden autor złożyć może tylko jedną pracę (wyłącznie w języku polskim).

Prace nie mogą być nigdzie publikowane ani nagradzane.

3. Prace należy nadsyłać do dnia 31 maja 2007 r. (decyduje data stempla pocztowego) na adres: Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Wysoka 3, 89-600 CHOJNICE, z dopiskiem „Konkurs poetycki”.

4. Nagrody i wyróżnienia w następującej wysokości: I miejsce - 600,00, II miejsce - 300,00, III miejsce - 200,00, trzy wyróżnienia po 100,00.

5. Uroczyste ogłoszenie wyników i wręczenie nagród nastąpi w dniu 4 sierpnia 2007 r. Nagrodzeni i wyróżnieni autorzy zostaną zaproszeni na CHOJNICKĄ NOC POETÓW na koszt organizatora. Nagrody nieodebrane zostaną wysłane pocztą.

Szczegółowe informacje można uzyskać pod nr telefonu: 052 3967089, 052 3972807, e-mail: biblchj@wp.pl

Gierliński napisał elementarz

Karol Gierliński jest autorem pierwszego elementarza dla dzieci romskich pt. „Mari szkoła” („Moja szkoła”). Napisa-ny jest w dialekcie Romów Polskich, ale może służyć także Romom na Litwie, Ukrainie, w Niemczech, Szwecji i Anglii, gdzie Romowie mówią tym samym dialektem. Podręcznik zaakceptowało Ministerstwo Edukacji Narodowej i przekazało pieniądze dla SP nr 1, gdzie uczy się najwięcej dzieci romskich. Ukaże się najpierw w nakładzie 500 egzemplarzy i będzie rozdawany za darmo.

- Chodzi o to, by dzieci ucząc się polskiego, równoległe uczyły się swojego języka, żeby czytały literaturę romską – mówi Karol Gierliński. Nauka języka to walka o kulturę i zachowanie naszej tradycji.

za: **Artur Brykner**, „Elementarz romskich dzieci”, „Gazeta Wyborcza”, 23 IV 2007 r.

Po spotkaniu z poetą księdzem Jerzym Hajdugą na promocji 1 numeru *Pegaza Lubuskiego* w roku 2007 ukazały się mile naszym oczom i uszom reperkusje w postaci wywiadów pisanych i nagrywanych. Przytaczamy fragment jednego z nich, pióra Małgorzaty Dobrowolskiej w 15 numerze „*Ziemi Gorzowskiej*” z 12. IV.2007 r.:

Wiele odśłon księdza

Rozmowa z Jerzym Hajdugą

– Gdy czyta się niektóre wiersze księdza, trudno uwierzyć, że napisał je ksiądz.

– Zaczęłam pisać przed wstąpieniem do klasztoru. Zauważam, że ci, którzy zaczęli pisać w klasztorze, nie mogą się wyrwać z religijności i czasem są na granicy dewocji. 28 lat byłam osobą świecką i to we mnie pozostało. Dlatego tak piszę.

– Księdza poezja jest bliżej Jana Pawła II czy Jana Twar-

dowskiego? A może to odrębny nurt?

– Raczej zupełnie osobny. Ale jestem blisko Twardowskiego. To duch franciszkański, radosny. U niego są wiersze religijne, ale nie ma padania na kolana.

Mało tego. On ubiera *Matkę Boską* w szpilki, upina kok. To, co my oddzielamy, on unormalnia. I *sacrum* staje się codziennością. To mi bardzo odpowiada. (...)

– Skąd tak wiele lapidarnych tekstów w księdza poezji?

– Lubię miniatury. Dla mnie ważne jest każde słowo. Te wiersze pilnują go, nie są rozgadane. Chcę, aby kondensacja, gra słowna, pobudzała wrażliwość. Po lekturze takich utworów człowiek ma więcej do myślenia. Piszę też felietony i tam słów jest więcej, bo są potrzebne. Tego wymaga forma.



A puenta musi być

Kobiety, polityków, przywary ludzkiego charakteru wyszjadają w swoich fraszkach i limerykach dwaj gorzowscy satyrycy. Ostatnio spotkali się przy jednym stole na swoistym pojedynku promującym ich nową książkę.

– My nie toczyliśmy wojny, tylko ze sobą dyskutujemy – mówi Tadeusz Szyfer o swoich zmaganiach z Janem Grosselem na fraszki, limeryki i aforyzmy. Każdy z nich ma na koncie po kilkanaście książek, obaj napisali tysiące skrzących się ostrym dowcipem, często bardzo frywolnych utworów. Ich teksty można znaleźć na internetowych stronach i prywatnych blogach jako motto lub zgrzytliwe komentarze codzienności.

Księdza też nie oszczędza

Fraszkopisanie Jana Grossa zaczęło się trochę z nudów. – Byłem w wojsku w Sochaczewie i tam dyżurowałem na wieży kontrolnej lotniska. Dyżury były długie, w pojedynkę i nudne. Pewnego dnia dostałem list od koleżanki i tam były fraszki. Pomyślałem sobie, że warto spróbować – opowiada. No i tak wymyślił „Kapelusz”: Masz go powyżej uszu/ A jednak chodzisz w kapeluszu.

Tadeusz Szyfer tajemniczo tłumaczy, że zaczął tworzyć, gdy wyszedł z wieku cięłego, bo do fraszki trzeba dorosnąć. – Ważne jest, aby fraszka miała rytm, rym i puentę, ale jak ma to ostatnie, reszty być nie musi – mówi.

Obaj piszą fraszki sytuacyjne. – Na jednym ze spotkań autorskich w Gdańsku wychowawczyni z kolonii, bo tam było to spotkanie – poprosiła mnie o fraszkę dla siebie. Na imię miała Agata – wspomina Jan Gross. Natychmiast wyszło mu coś takiego: Kiedy jestem przy Agacie? Niepotrzebne mi są gacie.

Tadeusz Szyfer opowiada, że jedną z lepszych fraszek napisał po wizycie biskupa Edwarda Dajczaka u swego ciężko chorego ojca: Dlaczego ksiądz na mszy/ Tak rozkłada ręce?! Bo wypił kielicha/ I nie może więcej. No i natychmiast urodziła się druga: Czasem u dobrego księdza / Gospodyni Baba Jęzda.

Musi być dosadnie

Wiele ich fraszek nie jest przeznaczonych dla delikatnych uszu. Są dosadne, a twórcy gęsto używają słów uznawanych za niecenzuralne. – Jeżeli oznaczają część ciała, to w porządku. Wulgarnie stają się, gdy oznaczają charakter – mówi T. Szyfer. I natychmiast podaje przykład: Złośliwość w gównu zamień/ Powiedziała kosa trafiając na kamień. A J. Gross natychmiast ripostuje fraszką mocną, choć bez słówek „Do apetycznej babki”: Wciąż mam nadzieję/ Ze cię nadzieję. W tej samej kategorii mieszczą się fraszki wywołane obrzydzeniem na telewizję. – Tak mnie kiedyś te głupie reklamy wkurzyły, że napisałem coś takiego – mówi Tadeusz Szyfer: Wisi sobie wisi? Sznureczek u pisi. I zaraz dodaje drugą: Jest to wybielacz nad wybielacz?! Pewnie Michael Jackson kapał się w Ace.

Równie dosadnie obaj piszą o polityce i politykach. – Za jedną musiałem się tłumaczyć w Komitecie Partyjnym – wspomina i przytacza feralny utwór: Miała mama troje dzieci: Lech, Czech i ten głupi, trzeci. Dokładnie też obecnej partii rządzącej: Prawo i sprawiedliwość osobno. Dlaczego?! Bo jedno z drugim nie ma nic wspólnego. A Jan Gross kończy: Mamy zastęp wciąż liczny/ Impotentów politycznych.

Renata Ochwat, „*Gazeta Lubuska*” 7-9 IV 2007



Byrscy wrócili do Gorzowa



Rodzeństwo Byrskich na wernisażu wystawy w bibliotece PWSZ

Biblioteka Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej otrzymała cenny dar: archiwum Ireny i Tadeusza Byrskich, wybitnych ludzi teatru, świadomych propagatorów wysokiej kultury na tzw. prowincji, dyrektorów gorzowskiego teatru w latach 1963-66. Na uroczystość przekazania przyjechały dzieci państwa Byrskich, które niezwykle ciepło i ciekawie opowiadały o rodzicach i o swoim życiu, między innymi w Gorzowie. Duży udział w pozyskaniu tych materiałów dla Gorzowa miał Janusz Dreczka, do 1999 r. dyr. Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego, admirał Ireny Byrskiej w ostatnich latach jej życia, obecnie pracownik PWSZ.

Najcenniejsze eksponaty zaprezentowano na wystawie, która była czynna w bibliotece PWSZ w końcu marca. Znalazły się wśród nich listy od znakomitych polskich pisarzy: zaprzyjaźnionego z Byrskimi Czesława Miłosa, Witolda Gombrowicza, którego sztuki chcieli wystawiać, Zbigniewa Herberta, który za ich dyrekcji był kierownikiem literackim gorzowskiego teatru i wielu innych.

Archiwum Ireny i Tadeusza Byrskich będzie w najbliższym czasie opracowane i udostępniane osobom zainteresowanym ich życiem oraz życiem teatralnym w Polsce w II poł. XX wieku.



Ci sami na konferencji prasowej

Apel prezesa Oddziału ZLP w Zielonej Górze

Szanowni przyjaciele, koledzy, znajomi i nieznajomi!!!
Artyści wszystkich krajów, łączcie się!

Piszę zwłaszcza do ludzi twórczych licząc, że zechcą skorzystać z magii miejsca zwanego Leśniczówką Linie.

Chciałbym Was zachęcić do przyjazdu na wypoczynek twórczy (wiosną, latem, jesienią i zimą) do miejscowości Linie, właściwie nawet nie miejscowości, tylko osady leśnej składającej się z dwóch budynków mieszkalnych i paru gospodarczych należących do nadleśnictwa. Linie leżą nad pięknym jeziorem o tej samej nazwie, wśród lasów, na pograniczu (ba, dosłownie na granicy) Wielkopolski i Ziemi Lubuskiej. 4 km od miasteczka Kargowa, 40 na wschód od Zielonej Góry.

W latach 50. i 60. bywał tam i tworzył pisarz Eugeniusz Paukszta. Od paru lat oddział zielonogórski ZLP starał się, żeby w budynku, w którym Paukszta wypoczywał, powstało coś co można nazwać domem pracy twórczej. Tak naprawdę są to pokoje; dwa z kuchnią na parterze i jeden na poddaszu.

Poza naszym („literackim”) staraniem i walką o to miejsce zasługi w uruchomieniu tego przedsięwzięcia (mówiąc szumnie) ma burmistrz Kargowej, który je wyremontował i wyposażył oraz nadleśnictwo Babimost, które te pokoje zachowało dla nas, twórców, choć mogło sprzedać z zyskiem.

Właśnie zaczyna się pierwszy sezon w Leśniczówce Linie. Jako ojciec tej idei namawiam wszystkich do przyjazdu. Warto, jeśli chcecie się wyciszyć, odpocząć. Na miejscu ktoś będzie dbał o wikt i opierunek (bardzo tanie!!). Po szczegóły odsyłam do urzędu miejskiego w Kargowej (biuro promocji), ale mogę też udzielić niektórych ogólnych informacji.

Zależałoby mi na podtrzymaniu tradycji twórczych tego miejsca. Na śladach artystów tam zostawionych. Dominik Paukszta, syn pisarza, obiecał dostarczenie do leśniczówki kilku pamiątek po ojcu. Liczę, że dołożycie swoje, niekoniecznie materialne.

Pozdrawiam - Eugeniusz Kurzawa

PS. Proszę bardzo o puszczenie wici w tej sprawie po kraju, a nawet zagranicą! Uważam, że grzechem byłoby nie skorzystać z takiej okazji, jaką nam daje los.

Jesteśmy na 14 miejscu

„Gazeta Lubuska” z 28-28 kwietnia drukuje 15 tytułów książek najlepiej się sprzedających w księgarni przy ul. Hawelańskiej. Na 14 miejscu znalazła się antologia Poetów Okrągłego Stołu pt. „Zapisani w wierszach”. Wyprzedziła książkę Wiesława Myślińskiego „Traktat o łuskaniu grochu” uznaną za najlepszą polską książkę 2006 r. Na pierwszych sześciu miejscach znalazły się książki związane z religią: „Modlitewnik za wstawiennictwo Jana Pawła II” na pierwszym miejscu, Stanisława Dziwisza „Świadectwo” na czwartym. Tylko jedna książka niereligijna wdarła się na trzecie miejsce: Ryszarda Kapuścińskiego „Rwący nurt historii”.

ZAPISANI
W WIER-
SZACH

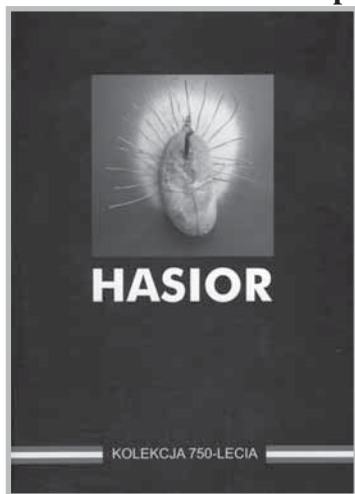


Archiwum i Wydawnictwo Okrągłego Stołu

Kolekcja 750-lecia

W cyklu albumów wydanych z okazji 750-lecia Gorzowa Wlkp. ukazały się trzy książki. Wydawcą wszystkich jest Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, graficznie opracowała je Magda Ćwiertnia, a okładki zaprojektowali Gustaw Nawrocki i Olga Rutkowska. Wszystkie ukazały się w formacie A-4 na kredowym matowym papierze w nakładzie 600 egzemplarzy.

„HASIOR w zbiorach Miejskiego Ośrodka Sztuki w Gorzowie Wlkp.”



Album przygotowany przez Miejski Ośrodek Sztuki. Red. nacz. publikacji - Gustaw Nawrocki omówił dorobek twórcy Władysława Hasiora zaznaczając, że: *Gorzowska kolekcja powstała dzięki pasji Jerzego Gąsiorka, wieloletniego dyrektora BWA, wielkiego admiratora twórczości Hasiora.* Dopełnieniem tego szkicu jest rozmowa G. Nawrockiego z Jerzym Gąsiorkiem o powstaniu tej kolekcji i o jego związkach z Mistrzem („Zwracałem się do niego Mi-

strzu...”). Gorzowska kolekcja dzieł Hasiora jest drugą co do wielkości, po zakopiańskiej. Liczy 31 dzieł, w tym 4 sztandary. Najwcześniejsze prace to „Czarne wodospady” z 1970 r., a jako ostatnią zakupiono „Kapliczkę Błękitnej Nadziei” datowaną na 1992 r. Większość asambliży powstała w latach 80. XX wieku. Jak pisze Gustaw Nawrocki - *jest to zestaw tematycznie różnorodny, reprezentujący większość obszarów znaczeniowych, po których Hasior się poruszał. Są tu kompozycje inspirowane prowincjonalną obrzędowością i religią, prace dotyczące tematu wojny, ironiczne, gorzkie i sarkastyczne.* Większość prac wybierał sam Hasior. Kolekcja ta wielokrotnie prezentowana była za granicą oraz w wielu miastach Polski. Jest najczęściej pokazywaną gorzowską kolekcją.

Kolejne strony wypełniają reprodukcje prac Władysława Hasiora (zdjęcia: Zbigniew Sejwa i Marian Łazarski) oraz krótkie fragmenty wypowiedzi artysty o sztuce lub opinie o jego twórczości. Album zamyka kalendarium życia i twórczości Władysława Hasiora. Książka liczy 80 stron. Na okładce – fragment asambliżu „Chleb polski”.

Renata Ochwat - „GORDON”

Obszerny szkic Renaty Ochwat o życiu i twórczości Andrzeja Gordona jest bodaj pierwszym pełnym opracowaniem dorobku tego artysty. W zakończeniu autorka pisze: *Temu malarstwu nie sposób odmówić wielkiej klasy. Geniuszu plastycznego. Fakt, że Andrzej Gordon należy dziś do niesłusznie zapomnianych, praktycznie nieznanych twórców, wynika z prostego wyboru. To on*

zdecydował się zamieszkać w Gorzowie i nigdy stąd nie wyjechał. Nie zabiegał o sławę i popularność. Dlatego też, będąc daleko od wpływowych kółek warszawskiej krytyki, kariery na skalę polską czy też nawet europejską zrobić po prostu nie mógł. Być może jednak zajmie kiedyś należne mu miejsce w historii polskiej sztuki.

Szkic ilustrują liczne zdjęcia z prywatnego życia artysty, przywołujące także przyjaciół z gorzowskich lat.

Dalej – reprodukcje prac (zdjęcia: Sławomir Sajkowski i Zbigniew Sejwa): najpierw rysunki, potem grafika, następnie malarstwo. Reprodukowane prace pochodzą z Muzeum Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze, instytucji gorzowskich: Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta, Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej, Miejskiego Ośrodka Sztuki oraz są własnością osób prywatnych.

Książkę kończy kalendarium życia i twórczości Andrzeja Gordona. Album liczy 120 stron, na okładce erotyk „Kuszenie” z 1979 r.

„KORCZ” praca zbiorowa pod redakcją Gabrieli Balcerzakowej

Na część analityczną składa się kilka artykułów: szkic Gabrieli Balcerzakowej „Jan Korcz – malarz Gorzowa”, biogram podpisany przez Redakcję (red. nacz. G. Balcerzak), wspomnienie – „Jan Korcz – człowiek i dzieło” – Jadwigi Dziadosz-Korcz, bratanicy malarza, rozmowa Agnieszki Dębskiej z Grzegorzem Romanczenko, jednym z jego uczniów, wspomnienie innego z uczniów – Juliusza Piechockiego oraz fragment pracy magisterskiej Katarzyny Sirkowskiej „Jan Korcz – próba monografii”

napisanej pod kierunkiem dr Jolanty Dąbkowskiej-Zydroń i obronionej w PWSSP w Poznaniu w 1994 r., tu pod tytułem „Malarstwo Jana Korcza – motywy i metody malarskie”. Teksty ilustrowane są wieloma nieznanymi zdjęciami, głównie prywatnymi.

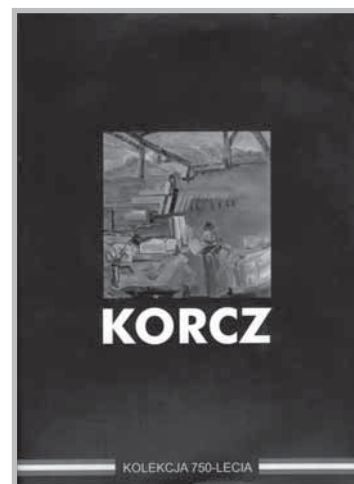
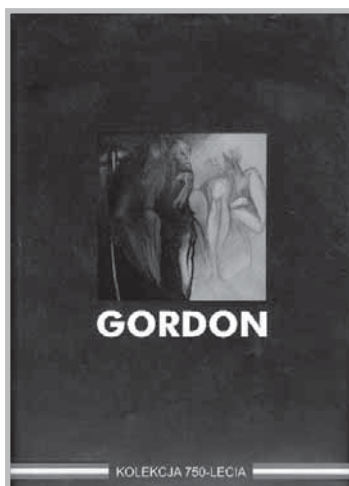
Jan Korcz z godną podziwu konsekwencją, wciąż i wciąż, odnajdywał ciekawe dla malarskiego oka zakątki miasta. Do wielu spośród nich wracał ze swoim nieodłącznym stołeczkiem, sztalugą i kasetką kryjącą paletę, farby i pędzle. Zawsze w charakterystycznym pilśniowym kapeluszu. Ten właśnie zapal oraz konsekwencja w wyborze tematów malarskich uczyniły z Korcza malarza Gorzowa – napisała we wstępnym szkicu Gabriela Balcerzakowa.

D r u g a

część to reprodukcje 56. prac Jana Korcza będących własnością Muzeum Lubuskiego im. Jana Dekerta (reprodukcje Lecha Dominika) oraz na zakończenie – portret Jana Korcza namalowany przez Juliusza Piechockiego.

Książka liczy 90 stron, na okładce – „Wędkarz”, praca z 1984 r.

Krystyna Kamińska



Kinga Mazur – urodzona 20. 06. 1989 r. Uczennica drugiej klasy I LO w Sulęcinie. Interesuje się psychologią, pasjonuje ją motoryzacja i twórczość Nicka Cave'a. Lubi szybką jazdę samochodem, zwierzęta, zespół Dżem. W wolnych chwilach czyta, spaceruje i tworzy. Poezja jest dla niej ucieczką od codzienności, próbą odnalezienia siebie i odpowiedzi na pytania, które ją nurtują. Jest tyranką, której można się oddać w słodką niewolę.

Swoje teksty z rekomendacją **Marka Grewlinga** oddaje do druku po raz pierwszy.



Zbrodnia

Tak,
to ja zleciłam zabójstwo
tej miłości.
Podałam jej rysopis
dane osobowe
przyzwyczajenia
i markę papierosów.

W zamieszkałym przez nią
sercu
kazałam zostawić
moje odciski palców
i podpis imienny
- przyznanie się
do winy.

Słowa mają smak

Słowa mają smak!
- na przykład:
słowo „mój” daje
metaliczny posmak
beznamiętnej własności
Typowo ludzkie
„nie wolno”
kaleczą duszę
smakiem cytryny i piołunu
Słowo „kocham”
jest słodkie...

aż mdli.

Dobra miłość

Dobra miłość jest pokorna
przynosi kapcie
i termoфор do łóżka
Okrywa kołdrą
- koło serca musi być ciepło
Dobra miłość jest mądra.

Dobra miłość jest jak dobra
żona.

Czerwona torebka

Czerwona torebka
patrzy na mnie
lubieżnie i wyniośle
zza szyby sklepowej witryny
myśli, że się może
ulęknąć,
że uklękne...

O, przedmiocie
bezduszny
nie życzę ci
bym to ja cię kupiła...

* * *

Dom udreki zasypiał
gdzieś
lalki bawiły się dziećmi
kojące krzyki
usypiały obłąkanych
Pisano własne
ewangelie
ukazujące ohydne
człowieczeństwo

Boga
W zimnym blasku
trupiobladych świec
dogorywały ostatnie ideały

A gdyby...

A gdyby
Bóg zszedł na ziemię?
Może jest niski
i piegowaty
albo ma odstające uszy?
Może tworząc człowieka
na swój obraz
i podobieństwo
oddał mu swoją krasę?
Bóg nie schodzi
na ziemię...
boi się stracić
wiarę w siebie
boi się stracić
wiarę w Boga
człowieka

Mój świat

Mój świat
Zamknęłam w kartach
przeczytanych książek.
Tych poźółkłych
i tych pachnących
drukarnią.
Mój świat ma to do siebie,
że lubi mi się wymykać z rąk
i spod nóg
Zamykam go więc znowu
- tym razem w wersach,

które sama stworzę.
Jeśli jednak
świat mi umknie
zupełnie,
spokojnie się na nim
zemszczę:
zamknę go
na wieki wieków

w szufladzie

amen.

Świat zmysłów

Zapach mandarynek
ma kształt twoich oczu
kolor zapachu kawy
to smak zachodzącego słońca
krzyk rozkoszy
wygląda jak
niedojrzałe wiśnie
zapach koloru księżycy
smakuje kokosowo
oddech śmierci pachnie jak
trząsk
łamanego serca

Nienawiść

Nienawiść jest piękna.

Ma długie, złote włosy
i białe dłonie
którymi zabija wybrańców
jest dużo silniejsza od miłości
nie tylko łamie serce
ale potem wyrывa je
i na końcu zjada.

Jest bardzo szczupła
figurę taką dziś się ceni
łatwo wciska się między dwoje
ludzi
i zbliża ich ze sobą
- nic tak ludzi nie zbliża jak
nienawiść
czasem widzę ją
jak przez szyby oczu
zagląda do serc...

Wiersze z przygotowywanej do druku antologii młodych poetów Sulęcina.

Nazywam się Wiola Hasiuk. Mieszkam w Sulęciniu, ale już trzeci rok uczę się w IV LO w Gorzowie Wlkp. Jestem bardzo pogodną, wesołą osobą, która realnie postrzega rzeczywistość. Mimo wszystko bardzo optymistycznie patrzę na świat. Kocham muzykę i towarzyszy mi ona w każdej chwili mojego życia. Od czasu od czasu w moim życiu rodzi się wiersz. Nie piszę poezji zbyt często, na każdy utwór musi przyjść odpowiednia pora i nastrój. Wiersze, które tworzę są w pewnym sensie opowieścią o mnie, bo w każdy z nich wkładam część siebie.

Rekomendacja: *Wioleta to osóbką o specyficznej delikatności słowa. Dobiera wersy z rozsądkiem i delikatnością charakterystyczną dla młodych ludzi. Dzięki oszczędności nie popada w banal. Jej miniatury to obraz współczesnego dziecka...dziecka dobrego życia u progu dorosłych ideałów. Warto czytać takie wiersze - są świeże i przypominają o tym, co my „starzy” dawno utraciliśmy.*

Beata Patrycja Klary

* * *

kap
kap
reakcja na dotyk mało delikatnego życia ...
kap
kap

* * *

byłam kiedyś deszczem stokrotek
słyszałam słodkie szepty bijącego serca
marzyłam

może ktoś dla mnie napisze piosenkę
może ktoś dla mnie zaśpiewa

* * *

przyszło mi żyć w zakazanym świecie
zakaz
zakaz
zakaz
namiętnie kochajmy się dla siebie...

* * *

czujesz ten świeży zapach wiosennych liści
tak prawdziwie
śpiew ptaków ubóstwiających każdy poranek
tak silne
każdy pierwszy raz...
twoje małe wielkie problemy...
cudownie pachnąca świeżo przekopana ziemia

* * *

osamotnieni zamknięci w jednym pokoju
kiedyś myślałam że tak można odkryć uczucie
to był blef
osamotnieni w jednym pokoju
możemy odkryć jedynie nasze pożądanie
chcę już stąd wyjść!
nie mów tylko że zgubiłeś klucz
mówisz:
„nie dowiesz się jak nie spróbujesz”

osamotnieni w tym małym pomieszczeniu

* * *

gdyby świat zamknąć za jednymi drzwiami
zgubić klucz
zrobmy to
może wtedy odkryję swoje uczucia

* * *

zgubiłam się w tym świecie
tak małym
o tak wiele większym ode mnie

* * *

taki pozorny spokój czysto miękko
pachną konwalie
-ciii... posłuchaj
-nikt nie słyszy a ludzie giną...

* * *

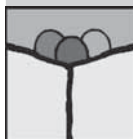
dotknij mnie jeszcze raz
niech znów zawirują motyle

jestem mgiełką unoszącą się ranem



rys. Andrzej Gordon

PEGAZ LUBUSKI. Czasopismo Literackie pod auspicjami WiMBP i ZLP. Red. nac. Ireneusz K. Szmidt, z-ca red. nac. Beata P. Klary, sekretarz redakcji: Danuta Zielińska, współpraca: Grażyna Kostkiewicz, Krystyna Kamińska, Wydawca: WAG „Arsenal”, ul. Matejki 82/3, 66-400 Gorzów Wlkp., tel./fax 095 7220 958, 0 501 520 227, e-mail: wag.arsenal@wp.pl, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, ul. Sikorskiego 107, tel. 095 727 70 70, 095 727 80 40 fax 095 727 70 75, zdjęcia: I.K. Szmidt, skład komputerowy Paweł Marchwiński 0 511 997 611.



Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego „Promocja czytelnictwa” ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego



Moja sesja zdjęciowa

W moim męskim sercu kiełkuje radocha;
Niech wszyscy zobaczą jak ja Gorzów kocham!
Celuję obiektyw na kwietne rabaty,
Przesłaniam widoki swym torsem brzuchatym.

Podziwiam kwitnące w śródmieściu kasztany;
Pod ścianą katedry biskup zatroskany.
Opieram swe plecy o obronne mury,
Mocno nadgryzione przez wieków pazury.

Do fontanny miejskiej ustawiam się przodem:
Lubię obserwować tych, co leją wodę.
Skoro się nie zgadzam z obecnym układem,
Do pleców Świnstera odwracam się zadem.

Wiję się jak piskorz i zmieniam pozycję,
By stworzyć korzystną nową koalicję.
Biorę nogi za pas nim fobie przeminą;
Schodami donikąd – pogięty jak Szymon.

Gorzów Wlkp. 07.05.2007 r.

